Wiadomości Wędkarskie

Rok V LIPIEC 1948 ROK Nr 5

MIESIĘCZNIK

ORGAN ZWIĄZKU SPORTOWYCH TOWARZYSTW WĘDKARSKICH R.P.



Karty Wędkarskie

Art. 47 Ustawy o Rybołówstwie z dn. 7 marca 1932 r. (Dz. U. Rz. P. Nr. 35 poz. 357 i Dz. U. Rz. P. Nr. 110 poz. 976) mówi.

Kto wykonywa sportowy połów ryb na wędkę winien posiadać przy sobie i okazywać na żądanie powołanych do tego osób kartę wędkarską i pozwolenie uprawnionego do wykonywania rybołówstwa na sportowy połów ryb na wędkę w obwodzie rybackim, w którym połów wykonywa. Kartę wędkarską wydaje na okres kalendarzowy roczny lub trzyletni powiatowa władza administracji ogólnej właściwa ze względu na zamieszkanie ubiegającego się o kartę. Karta wędkarska jest ważna na obszarze mocy obowiązującej niniejszej ustawy i stanowi osobisty dowód rybacki.

Powtarzamy w pełnym brzmieniu przepisy zawarte w tym artykule Ustawy, ponieważ dość często spotykamy się z błędnym tłumaczeniem ważności i przeznaczenia karty wędkarskiej.

Z przepisu Ustawy wynika, że każdy obywatel, pragnący uprawiać sportowy połów ryb na wędkę na wodach otwartych, powinien posiadać kartę wędkarską, która stanowi jego osobisty dowód rybacki. Spotykamy się często z pojęciem, że karta wędkarska upoważnia jej posiadacza do wędkowania na wszystkich wodach Polski. Takie tłumaczenie jest całkowicie błędne. Wszystkie wody otwarte t. j. takie, których nadbrzeżne grunta należą do różnych właścicieli, a więc zasadniczo wszystkie wody prócz stawów i nielicznych drobnych jezior, są podzielone na obwody, które drogą ogłaszanych przez Starostwa przetargów są oddawane w dzierżawę różnym reflektantom. Trudno byłoby się zgodzić z tym, by każdy posiadający kartę wędkarską mógł łowić tam, gdzie mu się podoba i to bez zgody dzierżawcy danego obwodu. Mogłoby się wtedy zdarzyć, że na jednym obwodzie, ciekawym pod względem sportowym, znalazłaby się zbyt wielka liczba wędkarzy. Dlatego właśnie w Ustawie dodano, że wędkarz winien posiadać, po za kartą wędkarską, pozwolenie dzierżawcy obwodu, upoważniające go do łowienia ryb na danym obwodzie. Zaś ze względów gospodarczych dzierżawcy obwodów mogą być ograniczani przez władze w ilości pozwoleń, jakie mogą wydać na dany obwód.

Wydaje się nam, że do nieorientowania się w sytuacji dopomagają niektóre Urzędy, wydając karty wędkarskie, nie informując dostatecznie petenta, rekrutującego się przeważnie z pośród wędkarzy niezrzeszonych, z natury rzeczy mniej uświadomionego w jego uprawnieniach. Zdarza się jednak czasami, że i członkowie Towarzystw Wędkarskich nie są dostatecznie zorientowani w istotnym stanie rzeczy. Mieliśmy niedawno sposobność rozmowy z przedstawicielami jednego z zrzeszonych w Związku Towarzystw, którzy objaśnili nas, że właściwe dla nich Starostwo Powiatowe poinformowało ich o tym, że nie potrzebują wykupywać karty wędkarskiej. Nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o jakieś poważne nieporozumienie. Ze swej strony daliśmy Towarzystwu właściwe wyjaśnienia i instrukcje.

Przypominamy więc wszystkim czytelnikom naszego pisma, że każdy wędkarz powinien posiadać prócz karty wędkarskiej pozwolenie dzierżawcy tego obwodu, na którym zamierza wędkować. Odpowiednie formularze przygotowane według urzędowego wzoru, mogą otrzymywać Towarzystwa zrzeszone za zwrotem kosztów w Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Roczna opłata przed wojną za kartę wędkarską wynosiła zł. 6 i za kartę trzyletnią zł. 15 (art. 51 Ustawy o Rybołówstwie). Obecnie opłata ta wynosi rocznie zł. 60. Wpływy z tych opłat przeznaczone są na zagospodarowanie rybackie wód otwartych i obronę rybołówstwa od szkód. Jak z tego wynika, jest to opłata, która w całości jest przeznaczona na poprawienie stanu zagospodarowania naszych wód. Taka opłata powinna każdemu wędkarzowi przypaść do serca, bo każdy musi choćby w najbardziej pośredni sposób przyczyniać się do podnoszenia wartości naszych wód. Wpływami tymi zarządza, ustalając ich przeznaczenia, Komitet Funduszu Ochrony Rybołówstwa.

Pobrane stąd przed wojną przypuszczalnie od 10.000 wędkarzy 60.000.— stanowiło poważny fundusz, gdy tymczasem obecnie wpływy z te-

go źródła, nawet od powiększonej w dwójnasób ilości wędkarzy tj. od 20.000 wynoszą złotych 1.200.000.—, co wobec zmiany wartości naszej waluty daje fundusz bardzo mały. Przedstawmy to na przykładzie. Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich z tego źródła otrzymywał przed wojną subwencję dla Wiadomości Wędkarskich w sumie zł. 3.000, co stanowiło dwudziestą część całego zebranego funduszu, obecnie zaś na to samo otrzymuje zł. 150.000, tj. już ósmą część osiągniętych wpływów. A jaki jest efekt. Gdy przed wojną otrzymane subsydium pozwalało pokryć trzecią część kosztu wydawnictwa, to obecnie stanowi otrzymana suma zaledwie ósmą część tych kosztów.

Dodać należy, że obowiązująca przy wyjednywaniu karty wędkarskiej opłata stemplowa od podania, od której zwolnieni są członkowie zrzeszonych Towarzystw Wędkarskich, wynosiła przed wojną 50 groszy, a obecnie 50 zł. A więc opłata od kart wędkarskich wzrosła z 6 zł. do 60 zł. tj. 10-krotnie, natomiast opłata stemplowa z 0.50 zł. do 50 zł. tj. 100-krotnie.

Należałoby przyjść do przekonania, że 10-krotne podwyższenie opłaty za kartę wędkarską jest zbyt niskie i należałoby dążyć do jej podniesienia conajmniej do zł. 100 lub nawet 150. Podniesienie tej opłaty nie spowodowałoby zbyt wielkich trudności przy ściąganiu jej, tym więcej, że jej zużycie musi być uznane przez wszystkich uświadomionyh wędkarzy za nadzwyczaj celowe i pożyteczne.

Powołany już wyżej art. 51 Ustawy o Rybołówstwie mówi, że osoby otrzymujące karty wędkarskie obowiązane są do uiszczenia prócz wyżej omówionej opłaty — kosztów druku dowodu. Tymczasem przez wiele Urzędów Powiatowych stosowane są opłaty przy wydawaniu kart wędkarskich w kwotach znacznie przewyższających koszt druku dowodu. Te dodatkowe opłaty wynoszą zwykle więcej, niż sama opłata na cele ogólnego zagospodarowania, a jeżeli chodzi o starostwa grodzkie w miastach wydzielonych, to te opłaty dodatkowe wynoszą wielokrotnie więcej, niż opłata zasadnicza za kartę wędkarską, gdyż dochodzą one do sumy zł. 400.

Celem zachęcenia wędkarzy do zrzeszania się w 1933 r. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych zwolniło wędkarzy zrzeszonych od uiszczania opłaty stemplowej. Ulga ta obowiązuje i obecnie, ale w rzeczywistości nie odgrywa ona tej roli, jaką miała pierwotnie, z powodu pobierania dodatkowych opłat zwykle przekraczających wysokość opłaty stemplowej. Dodać należy, że koszt druku formularzy kart wędkarskich ponoszą wędkarze po za Urzędem, wystawiającym dowód, ponieważ w odpowiednie formularze zaopatrują się w wZiązku Organizacji Rybackich, a trzeba mieć nadzieję, że w przyszłości przygotowanie tych formularzy przejmie Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Wydaje się nam koniecznym uporządkowanie tych spraw. Związek nasz dążyć będzie do tego, by wszyscy wędkarze sportowi byli członkami zrzeszonych Towarzystw Wędkarskich, a

---

Przy czarnej kawie

Ilekroć wracam do dawnych przeżyć wędkarskich, trudno mi się oprzeć, aby nie wspomnieć nieżyjącego już, a przemiłego towarzysza wypraw — pana Władysława.

Są ludzie, do których człek się garnie. Mają jakiś dziwny w sobie urok.

W towarzystwie tych osób każdy czuje się dobrze, swobodnie.

Ma złudzenie, że znajomość trwa od dawna.

Do tych rzadkich wałśnie jednostek zaliczam pana Władysława.

Mógł służyć za wzór, jako wędkarz-sportowiec.

Nie posiadał, niestety, żyłki wędkarskiej i z tej tylko przyczyny zawsze wracał bez ryby z łowiska.

Niebywale cierpliwy starał się naśladować kolegów i stosować podpatrzone metody łowienia. Co mniej więcej wyglądało w ten sposób.

Niedzielę od południa poświęcał więc na objazd terenu, posługując się ogromnym czółnem, zwanym przez niego „gondolą".

Odwiedzał wtedy co lepszych wędkarzy, wypytując drobiazgowo o rezultaty, rodzaje przynęt, sposoby montowania wędek itp.

Następnego dnia, w poniedziałek z rana, wiadomym nam wszystkim było, że można było go zastać, przed południem, w dużym sklepie z artykułami wędkarskimi, przy ul. Miodowej.

Byłem niejednokrotnie świadkiem tych odwiedzin.

W dyskusji brali udział właściciele sklepu, przygodni klienci, no i p. Edward, wędkarz nie lichy, pracownik firmy.

Ten ostatni zawsze był centralną osobą tych rozmów. A że był głuchawy, każdy starał się przekrzyczeć drugiego i przekonać p. Edwarda o słuszności swych uwag.

Tematem tych rozmów były poczynione obserwacje p. Władysława, dotyczące metod łowienia i używanego przez któregoś z wędkarzy sprzętu. Na tapecie był tylko taki, który ostatniej niedzieli najwięcej złowił.

Wreszcie pan Władysław, po długich i wyczerpujących naradach, decydował się na zaprojektowany przez p. Edwarda kij, płacił zaliczkę i zamawił z reguły trzy wędziska, stawiając nieodwołalnie następujące warunki: a więc miały być takie same, jakie posiada, dajmy na to — Kiełbikowski. Dla uniknięcia niespodzianek szczytówki miały być dwa razy grubsze. Sprzęt do odebrania najpóźniej w sobotę rano.

Nie uznawał autobusu. Jeździł stale koleją.

O godzinie 19 z minutami można było go rozpoznać z daleka, jak sztywno kroczył na czele wyrostków, uginających się pod ciężkimi jego bagażami.

Czego tam nie było.

Prócz przynęt i wszelkiego rodzaju bogatego sprzętu wędkarskiego, dwa worki mieściły w sobie pełną zastawę na cztery osoby, rondle, rondeleczki, patelnie, maszynkę spirytusową filiżanki do czarnej kawy i moc

wtedy Związek mógłby przejąć trud wystawiania i prowadzenia kontroli wydanych kart wędkarskich, czym przyczyniłby się do znacznego odciążenia władz administracji ogólnej. Taki stan rzeczy istnieje we Francji, gdzie opłaty na cele ogólne pobierają Towarzystwa Wędkarskie. Zanim jednak to nastąpi powinno wyjść zarządzenie, że za karty wedkarskie wystawiane dla członków zrzeszonych w Związku Towarzystw nie powinny być pobierane żadne dodatkowe opłaty, ponieważ te Towarzystwa cały trud ich przygotowania i sporządzenia odpowiednich wykazów przejmują na siebie, a rola Urzędów Powiatowych sprowadza się tylko do postawienia pieczątki i podpisu.

Reasumując powyżej powiedziane, należy wszcząć starania

1) aby przez odpowiednie obwieszczenia, umieszczone we wszystkich Urzędach Starostwach Powiatowych i grodzkich, byli poinformowani wszyscy posiadacze kart wędkarskich o przysługujących im z tytułu posiadania tych kart uprawnień i obowiązków z jednoczesnym podaniem grożących im kar za niezastosowanie się do obowiązujących przepisów. Z takim obwieszczeniem przygotowanym przez jedno z województw mieliśmy sposobność zapoznania się,
2) aby uzyskać poddanie rewizji wysokość obecnie obowiązujących opłat za karty wędkarskie,
3) aby drogą wydania odpowiednich zarządzeń ujednostajnione zostały opłaty pobierane przy wydawaniu kart wędkarskich i dostosowane do przepisów Ustawy tj. sprowadzone jedynie do zwrotu kosztu druku,
4) wreszcie aby, wychodząc z założenia, że zrzeszenie wszystkich wędkarzy w jedną wspólną organizację, mającą między innymi za cel podnoszenie wartości sportowych i moralnych swych członków, umożliwi walkę z tak rozwiniętym u nas kłusownictwem, członkom tej organizacji, którą jest Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich, przyznać pewne przywileje przy otrzymywaniu kart wędkarskich, np. legitymacja członkowska Towarzystwa zrzeszonego w Związku, wydana w formie ustalonej przez władze byłyby równoznaczna z kartą wędkarską, a należne za nią opłaty były bezpośrednio przez Towarzystwa, pod kontrolą Związku, odprowadzane na rachunek Funduszu Ochrony Rybołówstwa.

W. Czermiński

smakowitych rzeczy, przyrządzonych na zamówienie w restauracji „Pod Bukietem".

Te z takim trudem zwiezione prowianty były przeznaczone na dzień następny, na obiad.

Na ucztę zapraszał cztery osoby spośród kolegów-wędkarzy.

Sam stale był na diecie. Kontentował się kaszką, gdyż od wielu lat cierpiał na przewlekły nieżyt kiszek.

Posiłek spożywany był w „gondoli".

Gospodarz osobiście podgrzewał potrawy, przyrządzał kawę.

Jedynym tematem rozmów wtedy były niepowodzenia w wędkarstwie p. Władysława.

Każdy z zaproszonych czuł się w obowiązku go pocieszać, wynajdując coraz to nowe powody nieudanych łowów.

Na pewno nie było w tym żadnej obłudy. Każdy silił się, aby mu szczerze doradzić.

Nie pamiętam tylko od kogo wyszedł ten pomysł. Kto namówił p. Władysława na łowienie sandaczy?

Kiedyś, wracając z łowiska, spotkałem p. Władysława na moście, wpatrzonego w wartki nurt rzeki.

Wskazał mi miejsce, gdzie woda obmywała kamienny filar mostu i tonem, nie uznającym sprzeciwu, powiedział: w tym dole są grube sandacze.

W przyszłą niedzielę rozprawię się z nimi. Muszę zamówić odpowiednie wędziska.

Dochodziły mnie później słuchy, że żadnego nie złowił, ale odtąd żył myślą, jak złowić sandacza.

Wiek starszy nie pozwalał p. Władysławowi na wiosłowanie.

Korzystał więc z usług wyrostków, z góry zamawianych przez dozorcę obwodu, wynagradzanych hojnie.

Do niezbędnych czynności tych „żywych motorów" należało również zbieranie dżdżownic, łowienie żywców i ustawianie wędzisk pod czujnym okiem p. Władysława.

Oczywiście, za wszelkie niepowodzenia w wędkowaniu odpowiadał bezapelacyjnie tylko pomocnik.

Nie były brane pod uwagę żadne z jego strony tłumaczenia.

Po jednej niedzielnej urzejażdce dostawał odprawę.

Tym więc należy tłumaczyć fakt, że w każde święto kto inny prowadził łódź.

Prócz jednego chłopca, który dwa razy obsługiwał z rzędu. Na imię miał Kazik. Liczył lat siedemnaście.

O zemście tego filuta dowiedziałem się zimą, w kilka miesięcy później, przy czarnej kawie.

Pragnąc być jak najbardziej ścisły, przytoczę to opowiadanie własnymi słowami p. Władysława.

...Kazik miał dużo zalet! Dobrze wiosłował, umiejętnie obchodził się ze sprzętem! Posiadał jednak nieprzezwyciężoną wadę. Stale zasypiał.

Ledwo ustawił wędziska kładł się w łodzi i chrapał.

Nie reagował na żadne z mej strony przestrogi.

Nie pomagały moje tłumaczenia.

A trudno było go potem dobudzić. Musiałem się podnosić i dobrze mu natrząść głowę, aby oprzytomniał.

Przez cały dzień więc miałem z nim dość zajęcia.

Pod wieczór nie wytrzymałem. Powiedziałem dobit-

Pstrągowe łowy

Wartką falą bieży struga poprzez ostępy leśne i szmaragdy łąk nawadnianych dziesiątkami śluz i kanałów, rwie błyskotliwym nurtem na szerszych, otwartych odcinkach, w zakolach wlewa się w ciche i tajemnicze głębie, podmywa wysokie urwiska brzeżne i przewija się serpentyną ciasnego koryta obok nawisłych olch, sosen i krzaków leszczyny, by głębokim i zarośniętym jarem podążyć ku srebrzystej wstędze Tucholskich Borów — Brdzie — najpiękniejszej z rzek Pomorza.

Struga! Wiecznie żywa, rybna woda, bogata w królewską rybę pstrąga potokowego, troć i szlachetnego pobratymca tamtych łososiowatych — srebrnego lipienia, rezerwat najpiękniejszych okazów fauny wodnej, który tak ukochał i umiał ocenić nieodżałowanej pamięci ichtiolog prof. W. Kulmatycki, wspaniały teren wodnych łowów na cenną w rejestrze wędkarskim rybę. Zasilana rozlicznymi żyłami wodnymi,, bogata w tlen i karmę wodną, ukrywa zazdrośnie w ciężko dostępnych wykrotach i topielach kapitalne okazy, rzadko spotykane we właściwych krainach łososiowatych — tatrzańskich, karpackich i sudeckich rzekach i potokach.



Włochy k. Warszawy. Fot. S. Łapiński

Struga Tucholaska! W uroczyskach leśnych, gdzie przez kopuły splątanych olch, buków, sosen i świerków zrzadka przenika grot promieni słonecznych, poważna i tajemnicza, na otwartych przestrzeniach cała w srebrze migotliwych szypotów, skoków, wirów, warów i bryzgów perlistych rozśpiewana i zespolona w jedną przedziwnie piękną harmonię prawiecznych Borów z drzew poszumem, nieba błękitem i słońca blaskiem.

Tyle niezapomnianych chwil, tyle przeżyć łowkieckich nad ukochaną wodą! I tyle wspomnień!

Przed stęsknionymi, o jakże zmęczonymi miejską szarzyzną dnia powszedniego oczyma stają obrazy niezapomnianych przeżyć, przesuwają się fragmenty łowów wodnych na tle

---

nie, co o nim myślę i zapowiedziałem „śpiochowi", aby więcej mi się na oczy nie pokazywał.

Jednocześnie dałem znać dozorcy aby poszukał zastępcy.

Następnej soboty kiedy, jak zwykle, wysiadałem o tej samej porze z pociągu, ze zdumieniem dostrzegłem Kazika, który wynosił moje rzeczy z przedziału.

Ofuknąłem go mocno. Ale on z miejsca zaskoczył mnie słowami: — Panie dyrektorze, mam piętnaście kiełbi i zawiozę na takie miejsce, gdzie są sandacze, każdy jeden po 4 kilo.

Kto by nie przystał?

Było to w początkach października. Po wczesnej wieczerzy o zmroku wyruszyliśmy z Kazikiem na połów.

Wskutek szybko zapadających się ciemności trudno mi było się zorientować dokąd mnie wiezie.

Na każde moje pytanie odpowiadał: — panie dyrektorze, jeszcze kawałek drogi.

Zapadła ciemna noc, gdy Kazik zatrzymał łódź i kreśląc jakieś znaki w powietrzu, powiedział krótko: — to tu!

Zarzucił kotwicę, przygotował wędziska i migiem trzy kije, oparte o burty rufy, sterczały ku niebu.

Mnie usadowił przy nich. Sam ułożył się, oczywiście, do snu, w dziobie.

Nie przygotowany byłem na nocną wyprawę. Otuliłem się w nieprzemakalną, w teorii, pelerynę i całą moją uwagę skupiłem na obserwacji szczytówek!

Pamiętałem słowa Kiełbikowskiego... Sandacze bardzo delikatnie biorą, a kołowrotek może nie zasygnalizować uchwycenia przynęty. Należy podcinać przy najmniejszym drgnięciu szczytówki.

Wzmógł się wiatr północy, niosąc ze sobą drobny kapuśniak.

Podniosłem kołnierz. Naciągnąłem kaptur.

Nic nie brało. Wędziska spokojnie spoczywały, oparte o łódź.

Miałem ochotę sprawdzić przynęty, ale obawa, że nie potrafię w ciemnościach zarzucić wędki w to samo miejsce, powstrzymywała mnie od tego kroku.

Czas dłużył się niemiłosiernie.

Deszcz nie ustawał.

A ja, jak zahipnotyzowany, wytężałem wzrok, aby nie przegapić brania.

Kilka razy czułem już serce w gardle. Zadrżało któreś wędzisko.

Niestety, silniejszy podmuch wiatru sprawcą był tego złudzenia.

Trudno mi dziś opisać, jak ja wtedy przemarzłem.

Marzyłem o herbacie, o łóżku.

Wreszcie zaczęło szarzeć.

Łudziłem się jeszcze, że ranek przyniesie mi niespodziankę.

Istotnie tak było.

Gdy się rozwidniło spostrzegłem, że moja łódź osadzona była na mieliźnie, a trzy martwe kełbie leżały rozciągnięte na piaszczystej łasze.

Jasnym jest, że Kazika w Łodzi nie było.

Wygrzewał się w domu pod ciepłą pierzyną.

J. W.

przecudnej, wiosennej przyrody, nabierają blasku i życia. A wraz z nimi nadchodzi nieodłączna tęsknica.

W ciszu rozsrebrzonego poświatu księżyca późnomajowego wieczoru doszedł mnie poprzez dziesiątki kilometrów zew Borów Tucholskich. Nie zwlekałem ani chwili. Spakowałem stary poczciwy, cudem z pogromu ocalały sprzęt i ekwipunek i ruszyłem w długą, mozolną drogę.

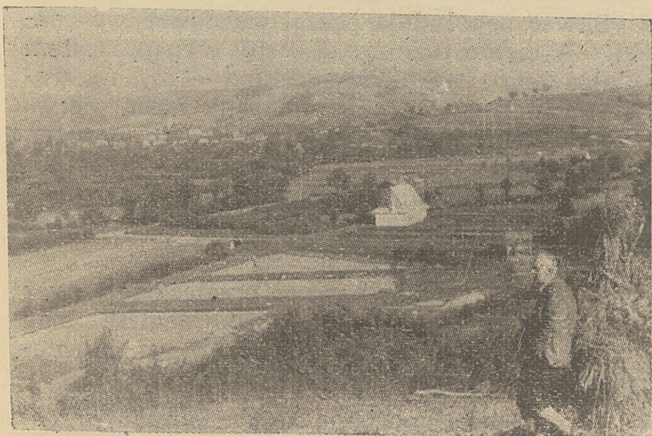
Mrok jeszcze spowijał ziemię, gdym ze stacji kolejowej w Tucholi, męczeńskiej mieściny w czasach okupacji, wyruszyłem pieszo ku dalekim borom nadleśnictwa Gołąbek i Woziwoda szlakiem gościńca rozświetlonego pełnią księżyca. Gwiazdy bladły i do świtu pozostawała niespełna godzina.

W rzeźkim, tchnącym wonią rozkwitłych sadów i łąk przydrożnych powietrzu idzie się raźnie, choć uskwiera nieco i ugniata wypakowany plecak i z biegiem czasu zaczynają ciążyć wędziska w futerale. Nic to! Tempo marszu przybiera na sile. Byle prędzej, byle wkrótce po świcie stanąć na miejscu! Wreszcie Brda spowita welonem mgieł. Jeszcze kilkaset kroków i znane pamiętne odgałęzienie od szosy — leśna drożyna ku Kełpińskim Mostom i Strudze.

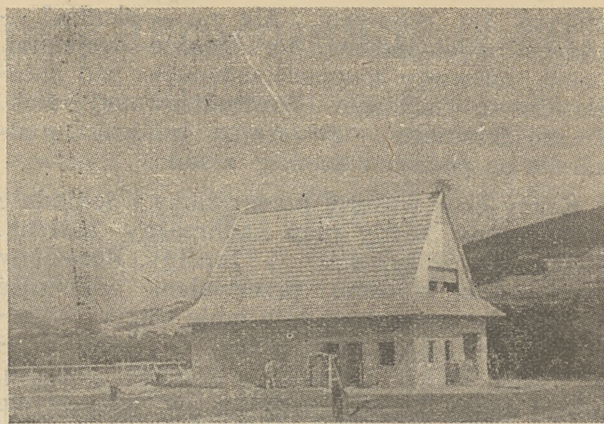
Poprzez koronkę rzadko rozrzuconych sosen przydrożnych sączył się perłowy brzask budzącego się dnia, gdym wkraczał w ostępy borowe. Zdjąłem czapkę i powitałem bór. Taki już mam zwyczaj od dawna, od chwili, gdym po raz pierwszy przeczytał „Lato leśnych ludzi“, najsilniejszy bodajże utwór Radziewiczówny.

Chram Boży i cmentarzysko ludzkie! Wszak w tych borach trwała długa, nieubłagana walka partyzancka z najeźdźcą, ziemia była przesiąkła krwią tysięcy rozstrzelanych ofiar. Tylko bór stał nietknięty i Brda szumiała niezmienną pieśń prawiecznego bytu. Może dla wielu, wielu nieznanych bojowców „z lasu“ była ona „Wierną Rzeką“.

Ciężko się teraz idzie piaszczystą i wyboistą drogą wśród splątanych korzeni i złomków



Mszana Dolna. Ośrodek zarybieniowy ryb łososiowatych



Mszana Dolna. Budynek lodarki

drzewnych. Bór gęstnieje. Z lewej poprzez rzadsze drzewa widać już szarzejącą Brdę. Wreszcie ostatnie, jakże dobrze znane dukty, młodnik świerkowy, drewniany mostek nad szumiącą w skalnym, granitowym korycie Strugą i pamiętna polanka leśna na wzgórku, opasanym rozległym zakolem.

Z uczuciem prawdziwej ulgi zdejmuje z ramion plecak i odkładam wędziska.

Widnieje. Ponad strzeliste gotyki świerków i kopuły sosen podniósł się złocisty krąg słońca, jasność przeogromna objęła niebo i ziemię skajaną w miliardach brylantowych skier rosy rannej na trawach i listowiu. Samotny obłok, różowy od pierwszego pocałunku, żeglował na seledynowym nieboskłonie zachodu.

I wraz uderzył w niebo radosny hejnał ptactwa. Bór ożył. Śpiewała Panu ziemia i woda.

Odpoczywam krótko. Składam ze wzruszeniem starą kochaną gruntówkę, lekką i poręczną, której używam również ze zapasową, krótką końcówkę jako rzutówki spinningowej na pstrągi i montuje przepływankę bez spławika. Składana siatka — podrywka u pasa, puszka z rosówkami w płóciennej torbie.

Możemy ruszać. Rzutówka muchowa w rezerwie — na razie. Jest za wcześnie i świat owadzi nie rozpoczął jeszcze pląsów nawodnych, a poza tym znam dobrze kaprysy Strugi. Nie o to idzie, że wsteczny a nawet boczny odrzut plecionki utrudniają ogromnie drzewa i rozrosłe krzewy, cała rzecz w tym, że królewska ryba w Strudze reaguje bardzo słabo na sztuczną przynętę muchową nawet w głównym sezonie i z tym muszę się liczyć.

Omijam zakole, które postanawiam spenetrować w drodze powrotnej i prę przez mokre od rosy trawy i chaszcze w górę potoku. Dziwna rzecz — orientuję się doskonale po tylu latach— przecież nad Strugą byłem ostatni raz w roku 1939.

O tam, tam za zakrętem — to urwisko po drugiej stronie, gardziel żwaru i wlew głęboki, długi wykręt breżny przez większą połowę koryta! Dojście możliwe tylko z brzegu,

którym się posuwam. Ale nie — skądże? — podchodzę jak indianin na ścieżce wojennej. Lekki, nerwowy niepokój ustępuje pod kategorycznym nakazem skoncentrowanej woli. To nic dziwnego — zwyczajna gorączka wędkarska na początku każdego sezonu.

Każdy krok wpierw przemyślany i dokładnie wymierzony, każdy pień nadbrzeżny zasłoną. Mijam gąszcz krzewów i tarniny. Rozeźlony mysi królik, któremu przerwałem widocznie kontemplację poranną, łaje mnie ostrym świergotem; zwyczajna rzecz u tego drobiazgu orlego ducha. Dalej! Oprę się o tę olchę pochyłą, której gruby korzeń wchodzi w piaszczyste w tym miejscu łożysko potoku. Wije się żywym skrętem różowa rosówka na haczyku, matowo odbija na tle zieleni przytrzymywana żyłka przeponu.

Pierwszy i drugi rzut ku bocznym prądom i kręgom zwaru bez skutku. Martwa woda — za wcześnie? O Strugo wierna i niewierna!

Znowu miękki, cichy rzut skośny ku przeciwległemu brzegowi, gdzie ostry prąd rwie ku gardzieli wlotowej w kierunku głębi wykrotu. Dwoma palcami lewej dłoni przytrzymywana plecionka sygnalizuje czułym nerwom dotykowym podwodną drogę przynęty toczącej się szybko w wartkim prądzie. Wyczuwam zaczep prawdopodobnie o głazy podwodne i lekkim podrywem końcówki uwalniam przynętę czy srucinę. Metr po metrze sznurka wyciągam z kołowrotka i wydłużam linkę wedkową, wyrównując stale, o ile możności, krzywizny powstałe pod naporem prądu. Przynęta powinna już chyba być na spadzie głębinowym wykrotu? Moment niepewności czy zniecierpliwienia... Wtem znana, o jakże miła sygnalizacja linki — delikatnie, rwane skubnięcie szy szarpnięcie gdzieś na końcu przyponu, błyskawiczne poddanie sznurka przez pochył wędziska, parada, chwila oczekiwania... i zacięcie!

Miot przestraszonej ryby, gwałtowne wygięcie wędziska i ściągnięcie kilka metrów linki z kołowrotka, hamowanego kciukiem, zlały się w jeden akord. Ryba parła całą mocą w głębinę wykrotu, wykorzystując wsteczne prądy podwodne i sznurka ubywało z sekundy na sekundę. Przerzucenie wędziska do lewej dłoni, przytrzymywanie całą garścią grającej pod palcami plecionki ogarnięcie prawym ramieniem zbawczego pnia olchy i przerzucenie się w pozycji na pół wiszącej na drugą stronę było dziełem jednej chwili. Na to, że wpadłem lewą nogą prawie do kolan w wodę, nawet nie zważałem. Dalej teren brzeżny był już dogodniejszy i postępując krok za krokiem, przy ostrym holu, za napierającą rybą, stałem na wysokości mniej więcej połowy wykrotu. Tu już miałem ułatwiony manewr. Przede mną szeroki pas płytszej wody, dalej ku urwisku ciemno zielona toń rozświetlana kręgami prądu wlotowego i strzępkami rozbitej piany zwaru; brzeg, na którym stoję, niski i podmokły, tuż za mną zwarty gąszcz podszycia leśnego.

Gdym po nieskończenie długim — tak mi się przynajmniej zdawało — ostrym holu zdołał podciągnąć muskularną rybę z głębi, w której instynktownie szukała oparcia, ku płyciźnie, słońce wypłynęło z poza wierzchołków sosen na przeciwległym brzegu i dojrzałem pstrąga, jak z rozportatymi wachlarzami płetew zapierał się groźnej przemocy.

Alei on mnie dojrzał i ostatnim, rozpaczliwym zrywem ściągnął sznur wędkowy i pogrążył się w swój wodny matecznik. Nie na długo. Siła oporu była na wyczerpaniu i zwolna, zwolna zwijałem metr po metrze plecionki na walec kołowrotka. Słaby wyprysk, a raczej skręt wśród perlistych bryzgów, odłożenie wędziska, uchwyty za napiętą plecionkę i—klęcząc na prawym kolanie na podmokłym brzegu, z nieszczęsną lewą nogą i tak już mokrą w wodzie— wydobyłem w podstawioną siatkę mój pierwszy po długich latach klejnot Strugi.

Rozświetlił się i przepoił słońcem krajobraz, gdym ruszył na dalsze bobrowanie wzdłuż rzeki. Ryby brały miernie, zwolna napełniała się kobiałka w plecaku; ostatnią, grubą sztukę złowiłem w drodze powrotnej w głębinie zakola.

Skwar popołudnia począł się dawać we znaki. W cieniu rozłożystej sosny wypaproszyłem i ułożyłem ryby. Dobry rozkład — same pstrągi. Złomek świerczyny, umazany farbą pierwszego „kapitalnego", wetknąłem w kieszeń wiatrówki.

Na rzutówkę muchową na Brdzie nie stało już czasu — trzeba było śpieszyć, by zdążyć w czas do powrotnego pociągu.

Z okna wagonu przy przejeździe przez most nad Brdą ogarnąłem spojrzeniem bieg rzeki. Zwidziała mi się hen w dali, za czerniejącą smugą borów, ukochana Struga.

W rejestrze łowieckim zajął „kapitalny" poczestne miejsce.

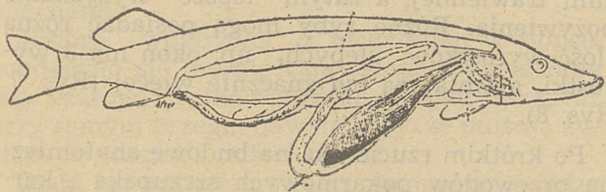
F. Choynowski



4 kg. 700 i 2 × 1½ kg.

Budowa przewodów pokarmowych u ryb

Wielka ilość różnych ryb i wielka rozmaitość budowy ich ciała powoduje różne wykształcenie przewodów pokarmowych. Inaczej są zbudowane organy trawienia i przyswajania u ryb o wydłużonym kształcie ciała, np. u węgorza, a inaczej u suma, który ma krótką jamę ciała, a stąd i układ tych organów jest zupełnie inny niż u węgorza. Dla zorientowania się w budowie i działalności przewodów pokarmowych różnych gatunków ryb słodkowodnych rozpatrzymy przykładowo budowę organów trawiennych u bardzo pospolitych i ogólnie znanych gatunków, szczupaka i karpia. Rozpatrujemy te gatunki w tym celu, ponieważ przewód pokarmowy szczupaka, jako ryby drapieżnej, jest krańcowo różnie wykształcony niż karpia, który jest rybą niedrapieżną. Wszystkie inne gatunki ryb, zamieszkujące nasze wody, stanowią formy pośrednie pomiędzy szczupakiem i karpiem, posiadają przeto budowę przewodu pokarmowego mniej



lub więcej zbliżoną do jednego lub drugiego gatunku.

Szczupak posiada nadzwyczaj szeroko otwierającą się paszczę, która usiana jest wewnątrz różnej wielkości zębami chwytnymi. Zęby te, różnej wielkości, na różnych częściach paszczy, posiadają tę cechę wspólną, że są śpiczaste, ostre i zagięte ku tyłowi. Służą nie do gryzienia, a do chwytania i podtrzymywania zdobyczy. Schwycony łup i nadziany na zęby szczupaka skutkiem tego nie może się wyswobodzić. (Rys. 1)

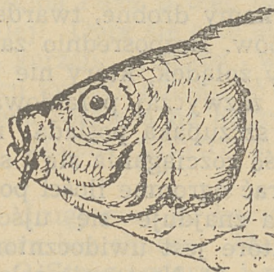
Nawet na wewnętrznej stronie łuków skrzelowych spotykamy drobne, twarde otwory, podobne do zębów. Bezpośrednio za przełykiem leży podłużny żołądek, który nie będąc wypełnionym, jest zazwyczaj pofałdowany podłużnie. Żołądek szczupaka posiada nieprawdopodobną zdolność rozciągania się i skutkiem tego może on pobrać ogromne ilości pożywienia. Na końcu żołądka znajduje się ujście woreczka żółciowego, które jest uwidocznione na rysunku (Rys. 2, Rys. 3). Następnie żołądek przechodzi w stosunkowo krótkie jelito ciągnące się aż do odbytu. Ogólnie jest wiadomym, że długość przewodu pokarmowego porównuje się z długością ciała zwierzęcia i im dłuższy przewód pokarmowy, tym dłużej pobrane pożywienie pozostaje w jelitach i tym lepiej karma może być wykorzystana. Szczupak, jako drapieżca, należy do ryb o krótkim przewodzie pokarmowym, pożywienie słabo wyzyskuje i z pobranym pokarmem nieekonomicznie się obchodzi. Potwierdza to również i budowa anatomiczna jego organów trawiennych, których ogólna długość wynosi zaledwie 1, 1/5 długości ciała, a więc prawie tyle, ile wynosi długość szczupaka.



Karp, jako ryba niedrapieżna, posiada pysk mały. Część przednia pyska jest tak zbudowana, że wysuwa się naprzód w postaci ryja, co umożliwia mu wyszukiwanie i pobieranie pokarmów z dna. (Rys. 4, Rys. 5). Wnętrze pyska jest wysłane miękkim i gładkim nabłonkiem; nie spotykamy tu żadnych zębów. Natomiast karp posiada potężnie rozwinięte zęby gardłowe, które służą do miażdżenia i rozbierania pokarmów (Rys. 6). Karp ze względu na małą jamę pyska i wąski przełyk, w przeciwieństwie do szczupaka, może pobrać tylko drobne kęsy. U ryb karpiowatych spotykamy się z ciekawym zjawiskiem, a mianowicie—nie posiadają one zupełnie żołądka. Żołądek leży na tym odcin-

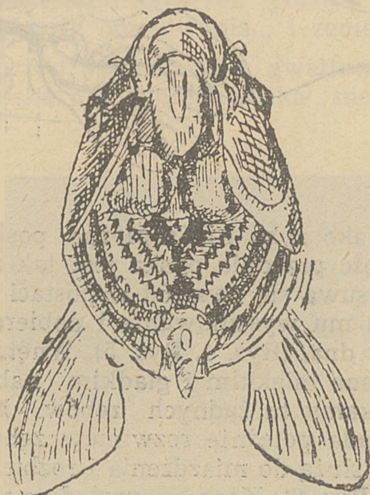
ku przewodu pokarmowego, który z jednej strony jest ograniczony przełykiem, a zdrugiej przewodem żółciowym wpadającym do jelita. U karpia przestrzeń między przełykiem a ujściem przewodu żółciowego jest tak mała, że jej jako żołądek w żadnym wypadku uważać nie można, ponieważ właściwości anatomiczne i fizjologiczne stoją temu na przeszkodzie.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w żołądkach zwierząt kręgowych znajdują się kwasy, ma



to również swoje miejsce i u ryb drapieżnych spotykamy odczyn zasadowy.

Może się dziwnym wydać, że niektóre ryby mogą żyć nie posiadając żołądka. Dla wyjaśnienia tego zjawiska spójrzmy na to zagadnienie z innej strony. Spotykane są wypadki wśród ludzi, gdy skutkiem rozmaitych schorzeń usuwane bywają żołądki. Człowiek taki może żyć całe lata pod warunkiem zachowania pewnych nakazów, a więc pobierane pokarmy winny być w małych dawkach i dostatecznej mierze rozdrobnione, napoje nie mogą być za gorące ani też za zimne itp. ostrożności. Z podobnymi stosunkami spotykamy się i wśród ryb niedrapieżnych. Pobierają one drobny pokarm w małych ilościach i w ciągu dnia napełniają żołądek kilkakrotnie, w przeciwieństwie do ryb drapieżnych, które mogą nagromadzić w żołądku ogromne ilości pożywienia i trawić to przez przeciąg kilku dni.



Przewód pokarmowy karpia jest pozwijany i wielkość jego wynosi od 2, 5 do 3 razy większą niż długość ciała karpia. Szczupak natomiast posiada przewód pokarmowy mało pozwijany i znacznie krótszy. Ryby niedrapieżne z reguły posiadają dłuższe przewody pokarmowe niż ryby drapieżne, żywiące się paszami wysokowartościowymi.

Przeprowadzając analogię między rybami i zwierzętami domowymi, wśród których w miarę postępującej domestykacjji i im zwierzę jest bardziej rasowe, tym lepiej wyzyskuje pasze białkowe. Karp ma za sobą już wielowiekową hodowlę. Jest to ryba o wysokiej kulturze hodowlanej, która posiada cały szereg cech świadczących o tym, że jest to zwierzę rasowe, o długim przewodzie pokarmowym, dobrze wyzyskuje pobrane pożywienie, szybko przyrasta, równomiernie odkłada tłuszcz t. zn., że mięso jego jest równomiernie przerośnięte tłuszczem i w przekroju poprzecznym jest „marmurkowate". Szczupak z punktu widzenia hodowlanego jest zwierzęciem prymi-

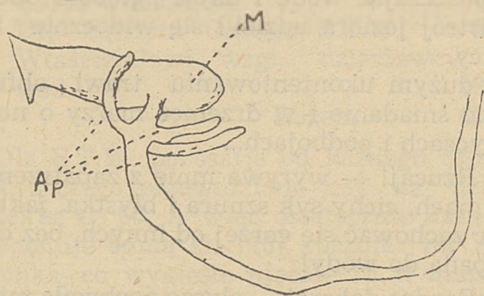


tywnym. Przewód pokarmowy jego jest krótki, słabo wyzyskuje karmę stąd wysoki współczynnik pokarmowy, t. zn., że na to, by szczupak przerósł o 1 kg. trzeba skarmić ok. 20 kg. i więcej karmy w postaci ryby. Współczynnik pokarmowy karpia jest bez porównania niższy i dla łubinu wynosi 5, t. zn., że na przyrost 1 kg. karpia trzeba skarmić 5 kg. łubinu.

U niektórych ryb spotykamy wyrostki ślepe (Appendices pyloricae), odchodzące od jelita, których celem jest zwiększenie powierzchni trawiennej, a zatym lepsze wyzyskanie pożywienia. Różne ryby mogą posiadać różną ilość wyrostków ślepych, np. okoń ma 3 wyrostki, a finta ma ich znacznie więcej (Rys. 7. Rys. 8).

Po krótkim rzucie oka na budowę anatomiczną przewodów pokarmowych szczupaka i karpia przejdziemy teraz do rozpatrzenia soków trawiennych w przewodach pokarmowych tych ryb. U szczupaka podobnie jak u zwierząt stałocieplnych w żołądku występuje kwas solny i ferment pepsyna. Działanie pepsyny objawia się w środowisku kwaśnym.

Pepsyna w odróżnieniu od innych fermentów działa i w niskiej temperaturze, stąd zdolność pobierania i trawienia pokarmów przez

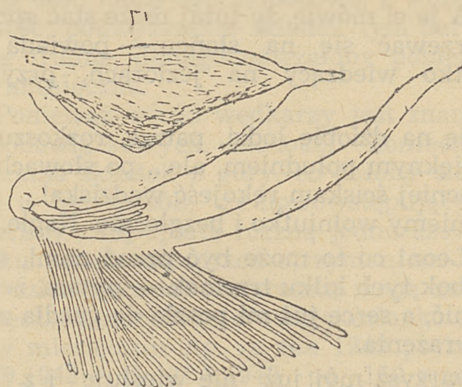


ryby drapieżne w zimie. Np. pstrągi pobierają pożywienie w temperaturze około 0° C. Trypsyna występuje w jelicie i działa w środowisku zasadowym (niekwaśnym). Kwas solny, pepsyna i trypsyna działają na białko. Są jeszcze inne fermenty trawiące białko, ale występują one w małych ilościach.

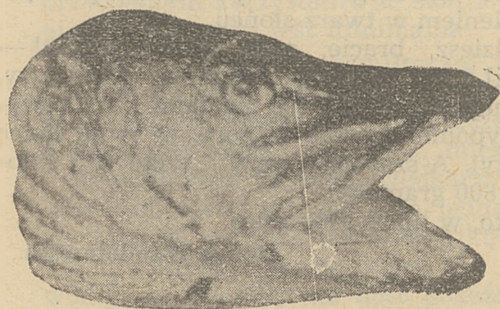
W przewodach pokarmowych ryb drapieżnych spotykamy ponad to fermenty: lipazę, działającą na tłuszcze, i amylazę, trawiącą cukry i skrobię.

U ryb niedrapieżnych, pozbawionych żołądka, w całym przewodzie pokarmowym jest odczyn zasadowy, więc i występujące tam fermenty działają w środowisku niekwaśnym. Fermenty trawiące białko są: trypsyna, entorokinaza, i erypsyna, działająca na tłuszcz lipaza, a na skrobię i cukry — amylaza i maltaza.

W ścisłym związku z budową przewodu pokarmowego, jakością i ilością fermentów trawiennych, jest kwestia pobierania pokarmu w zależności od wieku i gatunku ryby, ale o tym następnym razem.



Inż. Stanisław Bernatowicz



Szczupakowa MIGAWKA

Dochodziło południe. Wiatr poleciał sobie gdzieś w nieznane, a trzciny, niezmiernie tym zdziwione, stały znieruchomiałe, bojąc się najmniejszym gestem zdradzić swoją obecność, a może i nie mając ochoty o czymś tam gaworzyć wąskimi listkami.

Słońce prażyło z całych sił, korzystając z tego, że żadna chmurka nie przeszkadzała mu pieścić ziemi.

Jezioro, wpatrzone z zachwytem w słońce, poddawało się biernie całą swoją powierzchnią jego czarowi i tylko maleńką, okrągłą falką, tuż przy samym brzegu, dawało znać, że pulsuje życiem, że odczuwa radość bycia!

Ptaki też prawie przestały rozmawiać między sobą, opanowane urokiem tej chwili. Tylko słowik trzcinowy od czasu do czasu głośnym wykrzyknikiem wyrażał swój zachwyt, albo kaczor niespokojnym lotem przecinał nagrzane powietrze, jakby zawstydzony, że właśnie teraz musi załatwiać jakiś swój interes.

Woda była zupełnie przezroczysta o barwie takiej, jaką jezioro miewa tylko wtedy, kiedy nie myśli o walce z wiatrem, kiedy chce pokazać, że i ono może się uśmiechać i pragnie przypodobać się słońcu.

Cała przyroda zdawała się z roszkoszą oddawać słodkiej „dolce far niente".

A człowiek?

Zdawało nam się, że czujemy ten cały czar, że i nam udziela się ten nastrój, ale... żyłka łowiecka zwyciężyła!

Cichutko, trochę wstydząc się jakimś dźwiękiem obrazić nasze otoczenie, a trochę... sami wiecie, wypływamy na wielką płyciznę. Woda około jednego metra.

Gdzieniegdzie trzcinka samotna stoi, jakby onieśmielona tym, że odeszła tak daleko od stada.

Jezioro patrzy na nas zdziwione i w milczeniu pokazuje trochę pokrzywione odbicie naszych

sylwetek, chcąc udowodnić swoją nad nami przewagę!

Od czasu do czasu tylko stadko maleńkich płoci przetnie nam szlak, szukając, na wszelki wypadek, lepszego miejsca na schronienie, albo okonek, jak palec, zygzakowatym śladem czupurnie przepłynie, złoszcząc się na nieoczekiwanych intruzów.

— A ja ci mówię, że tutaj może stać szczupak i wygrzewać się na słońcu — powiada mój, wszystko wiedzący na jeziorach, przyjaciel, Leon.

Stoję na dziobie łodzi, patrzę, rozkoszuję się tym pięknym południem, ale... po słowach Leona mocniej ściskam rękojeść wędziska!

Płyniemy wolniutko i bezgłośnie. Nagle...

— Leon! co to może być przed nami, o tam, tam obok tych kilku trzcinek — pytam, żeby się upewnić, a serce już mi poszło do gardła z emocji i wrażenia.

Towarzysz mój już nie wiosłuje i z flegmą mówi:

— Staraj się rzucić błystkę jak najciszej, z piętnaście metrów za niego i tak, żeby przy zwijaniu znalazła się w polu jego widzenia.

Mam już przecie spore doświadczenie „szczupakowe", kilka ładnych sztuczek już na sumieniu zahaczonych, opanowanie też już było, sprzęt też dużo razy dobrze działał, ale... nigdy w takich warunkach!

Trwam w łowieckim zachwycie!

Przed nami, w odległości około dziesięciu metrów i z trzydzieści centymetrów od powierzchni wody, stoi szczupak!

W pierwszej chwili wydaje mi się, że co najmniej 15-kilowy! Cienie od trzcinek zlewają się z pręgami na jego ciele i dopiero po wpatrzeniu się, widać rabusia zupełnie dokładnie. Płetwy skrzelowe falują delikatnie, utrzymując ciało w idealnym bezruchu.

Pokrywy skrzelowe odchylają się rzadko, przepuszczając wodę i dając „głęboki oddech".

Nastrój jeziora udzielił się widocznie i jego władcy.

W dużym ukontentowaniu trawi obfite na pewno śniadanie i w drzemce marzy o nowych zdobyczach i podbojach...

— Rzucaj! — wyrywa mnie z zapatrzenia.

Zamach, cichy syk sznura i błystka, jakby nie chcąc zachować się gorzej od innych, bez dźwięku spada do wody!

— Bardzo dobrze! — słyszę pochwałę miłą dla mnie z ust Leona. Natychmiast zaczynam zwijać — a błystkę widzę cały czas!

Emocja nie pozwala mi oddychać!

Już nadchodzi na linię szczupaka w odległości około dwóch metrów od niego i... bestia zniknęła!

Woda strzeliła pióropuszem w górę, ja odczuczułem piorunujące szarpnięcie, kołowrotek zagrał... zaczęło się!

Walka, pełna nieznanego dotąd uroku, bo na płyciźnie i przy tropikalnym słońcu, nie mogła trwać długo...

Po kilku minutach szczupak już był w łodzi i tylko potężnymi uderzeniami ogona w dno wzywał jezioro na pomoc!

Ale ono nie mogło go słyszeć, bo patrzyło z uwielbieniem w twarz słońcu...

— Będziesz, bracie, miał fajne zdjęcia! — stwierdził rzeczowo mój kolega z Warszawy, który drugą łodzią ciągnął za nami i, na szczęście, przypomniał sobie w porę, że moją Leicę ma na szyi. A szczupak ważył „tylko"... 7 kilogramów 800 gramów!

Giżycko, w lipcu 1948 roku.

Jerzy Wendołowski

W sprawie opłat na rzecz S. T. W.

(temat dyskusyjny)

Ponieważ liczni wędkarze zgłaszają swoje zastrzeżenia, że opłaty pobierane przez S.T.W. są wygórowane i niedostępne dla szerszych mas obywateli, byłoby bardzo pożądane, aby poszczególne S.T.W. podały na łamach „Wiadomości Wędkarskich, jakie opłaty pobierają od swych członków — z odpowiednim uzasadnieniem. Pozwoli to ogółowi wędkarzy z różnych S.T.W. i części kraju zorientować się, czy wysokość pobieranych opłat jest słuszna.

S.T.W. w Szczecinku pobiera następujące opłaty rocznie:

1. składki członkowskie 300.— zł.
2. karta wędkarska 60.— „
3. prenumerata „Wiadomości Wędkarskich" 300.— „
4. opłata za wędkowanie z brzegu lub z łodzi 500.— „
5. opłata za dzierżawę obiektu sportowego 50.— „

Dla nowowstępujących dochodzi opłata wpisowego zł. 100 i opłata za legitymację członkowską zł. 20.

Z powyższego wynika, że najniższa opłata wraz z zezwoleniem na wędkowanie wyniesie rocznie zł. 610, a z prenumeratą W.W. — 910 zł. dla starych członków, lub zł. 730, względnie zł. 1.030 dla nowowstępujących.

Ponieważ prenumerata W.W. jest zasadniczo obowiązująca, należy praktycznie przyjąć za aktualną kwotę zł. 910, co wyniesie zł. 75 miesięcznie.

Z powyższej sumy S.T.W. opłaca:

1. Zarządowi S.T.W. w Warszawie 100.— zł.
2. „Wiadomości Wędkarskie" 300.— „
3. Karta wędkarska 60.— „
4. Dla Zarządu Okręgu S.T.W. 50.— „
5. Właścicielowi wzgl. dzierżawcy wód 180.— „

Razem 690.— zł.

Dla S.T.W. pozosatje od każdego członka zł. 220, z czego przewidziane jest na dzierżawę obiektu zł. 50. A więc ostatecznie kasa S.T.W. dysponuje sumą zł. 170 rocznie na jednego członka, co wyniesie niecałe 15 zł miesięcznie. Jeżeli S.T.W. liczy w danym wypadku 140 członków, to na opłacenie lokalu, porta, pomocy kancelaryjnej (maszynistki), kosztów prowadzenia księgowości, prowadzenie biblioteki, zakup sprzętu biurowego itp. pozostaje suma niepełna zł. 25.000 rocznie. Suma ta niestety nie może być wystarczająca i zachodzi konieczność podwyższenia składek, gdyż samo prowadzenie sekretariatu i księgowości kosztuje najtaniej ca 2.000 zł. miesięcznie (ca 24.000 rocznie).

Jeżeli rozważymy ile przeciętny obywatel wydaje na papierosy, wódkę wzgl. różne rozrywki, to wówczas uświadomimy sobie, że suma zł. 75 miesięcznie na pokrycie kosztów tak zdrowego i pożytecznego sportu, jakim jest wędkarstwo uprawiane na świeżym powietrzu, przy pełnym korzystaniu ze słońca i wody oraz piękna przyrody jest minimalna.

Wiemy o tym, że zamiłowani wędkarze w sezonie nie mają nawet czasu na inne bardziej kosztowne rozrywki, a więc oszczędzają przez to napewno więcej niż 75 zł. miesięcznie.

Pomimo tego, iż wielu wędkarzy narzeka na wysokość opłat w S.T.W., to jednak nie waha się zabierać ze sobą na wycieczkę „ćwiartki" lub „półliterka" wódy, którą się „raczy" nad wodą, nie zważając na dość pokaźny wydatek, przekraczający znacznie wysokość składki członkowskiej.

Na tym miejscu ci wszyscy malkotenci winni sobie uświadomić, że zaoszczędzony jeden papieros dziennie daje w sumie ponad 1.000 zł. rocznie.

Prawdą jednak jest, że opłacanie choćby tej minimalnej sumy 910 zł. jednorazowo dla szeregu osób może być kłopotliwe, a wobec konieczności podwyższenia składek tym bardziej będzie trudne, dlatego należałoby pobierać opłaty miesięczne.

Ponieważ wśród wędkarzy jest znaczna ilość nieobowiązkowych, zachodzi konieczność pobierania składek z góry, co dałoby się rozwiązać w ten sposób, że nowowstępujący członek płaciłby całą opłatę roczną jednorazowo lub w kilku ratach, ale przed otrzymaniem legitymacji członkowskiej (co zresztą mogą zawsze bez przeszkód uczynić), a starzy członkowie płaciliby miesięcznie np. za rok 1949 począwszy od 1.10.1948 r. do 31.3.1949 po 150 wzgl. 200 zł. Po opłaceniu całkowitej należności za dany rok mogliby dopiero uzyskać przedłużenie legitymacji członkowskiej.

Jeżeli dany członek przeniósłby się do innego S.T.W. przed 31 marca, to wówczas S.T.W., które pobrało opłatę zgóry winno byłoby zwrócić wpłacone sumy, zatrzymując 10% na pokrycie kosztów manipulacyjnych.

Gdyby w międzyczasie opłaty zostały podwyższone, to każdy członek zobowiązany byłby do dopłacenia różnicy przed przedłużeniem legitymacji na dany rok.

Mam wrażenie, że ten sposób pobierania opłat byłby znacznie dogodniejszy dla członków.

Proszę o wypowiedzenie się Zarządu Związku S.T.W., jak i zainteresowanych wędkarzy w powyższej sprawie.

inż. S. Dowhyluk

Aktualna sprawa

(temat dyskusyjny)

Często zdarzają się w praktyce wypadki, że Towarzystwo Wędkarskie staje wobec trudności w podjęciu decyzji, co do przyjęcia na członka S.T.W. niektórych kandydatów. Chodzi tu przede wszystkim o nieletnich, emerytów, inwalidów i bezrobotnych.

Zasadniczo członkiem S.T.W. może być osoba posiadająca uprawnienia do uzyskania karty wędkarskiej, które są uwarunkowane art. 45 i 46 ustawy o rybołówstwie.

Jednak statut i regulamin S.T.W. nakładają na swych członków pewne zobowiązania, o których ustawa rybacka nic nie mówi, jak np. płacenie składek członkowskich, prenumerata „Wiadomości Wędkarskich" it. p.

Przejmując zasadę, że w dzisiejszych czasach ludzie zdrowi nie mogą pozostawać bez pracy, sprawę bezrobotnych (za wyjątkiem posiadających świadectwa lekarskie, zwalniające od pracy) należałoby rozwiązać w ten sposób, że nie mogą oni należeć do S.T.W.

Odnośnie uczącej się młodzieży niepracującej zarobkowo, jak również niepracujących emerytów oraz niepracujących inwalidów i niezdolnych do pracy orzeczeniem lekarskim, zachodzi potrzeba zastosowania pewnych ulg w opłatach na rzecz S.T.W. Wydaje się usprawiedliwionym, aby składki członkowskie zostały ustalone dla nich na 50% normalnej wysokości. Członkowie tacy nie powinni jednak mieć tak biernego jak i czynnego prawa wyborczego.

Dzieci do lat 15 winny mieć prawo wędkowania bez obowiązku należenia do S.T.W. za wykupieniem karty wędkarskiej, ale wyłącznie pod opieką i w obecności członków S.T.W., posiadających prawo wędkowania na danej wodzie.

Dla wprowadzenia jednolitych zasad w całym kraju, byłoby bardzo pożyteczne, aby w powyższej sprawie wypowiedzieli się zainteresowani wędkarze, jak również i Zarząd Związku S.T.W.

Szczecinek, maj 1948 r.

Zarząd Związku całkowicie solidaryzuje się z chęcią inż. S. Dowhyluka ujednostajnienia zasad, dotyczących poruszonej sprawy w całym kraju.

Zarząd Związku podziela powyżej podane zasady. Precyzując zagadnienie, uważa, że w pierwszej linii Towarzystwa Wędkarskie powinny ułatwić zaprawianie się do sportu wędkarskiego młodzieży, następnie mają one w pierwszej linii obowiązki względem swoich długoletnich członków, którzy z chwilą przejścia na emeryturę lub z innych powodów znajdą się w niemożności pokrywania składek członkowskich. Dla takich wędkarzy powinny być stosowane jaknajdalej posunięte ulgi. W następnej kolejności idą inwalidzi.

Węzły

Każdy z wędkujących winien przede wszystkim opanować sztukę wiązania, linewek, haczyka, czy też karabińczyka.

Wędkarz, który nie umie wiązać haczyka, sznura — nie może liczyć na sukcesy. Wreszcie nie zawsze będzie ktoś w pobliżu, który chętnie przyjdzie z pomocą nad wodą.

Węzłów jest duża ilość. Nie wszystkie jednak mogą być stosowane, ze względu na szkodliwe oddziaływanie na linewki lub ześlig.

Podajemy cały ich szereg. Trochę więc cierpliwości, a z pomocą kawałka sznura od pakowania każdy z uważnych tę sztukę szybko sobie przyswoi.

Oczywiście wskazanym jest, aby naukę przeprowadzać w domu, mając przed sobą niżej podane rysunki i krótkie objaśnienia.

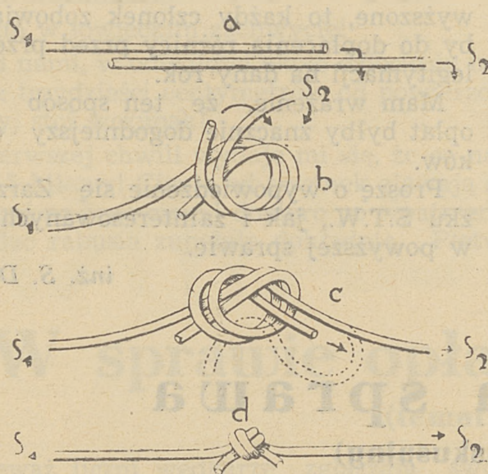
Strzałki uwidocznione na rysynkach wskazują kierunki zadzierzgiwania węzłów.



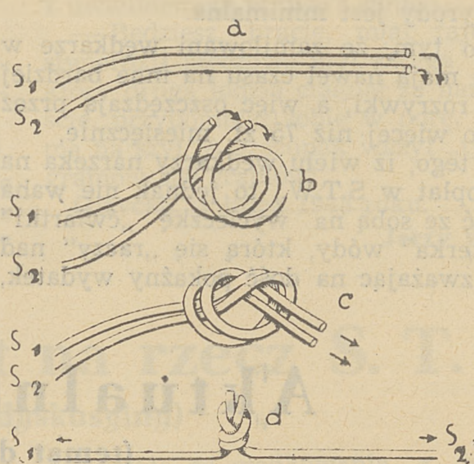
Rys. 1

Węzeł wyobrażony na rys. 1 służy do połączenia dwóch linewek, względnie do zawiązania pętli (rys. 4). Węzeł ten jest szkodliwy i nie powinien być w ogóle stosowany. Ma on tendencje duże do ześlizgu i łatwo się rozwiązuje. Ponadto przy silnym zaciąganiu łatwo może spowodować uszkodzenie żyłki.

Węzeł wskazany na rys. 2 może być stosowany tylko w wyjątkowym wypadku, kiedy np. jeden ze sznurów jest zbyt krótki, aby go można było w inny sposób dowiązać. Poza tym również nie należy go używać.



Rys. 2



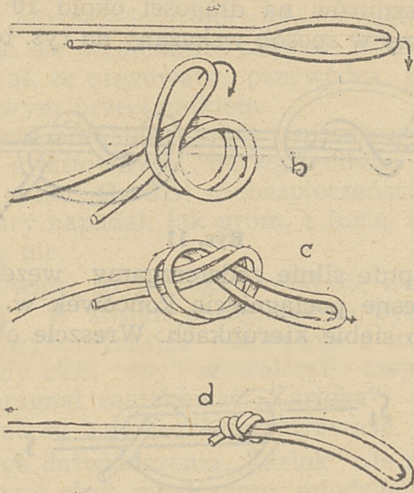
Rys. 3

Węzeł, podany na rys. 3o w żadnym wypadku nie powinien być używany przez wędkarza, z przyczyn tych samych, co węzeł pierwszy (rys. 1).

Rys. 5 wskazuje sposób łatwy, wiązania linewki i przyponu.

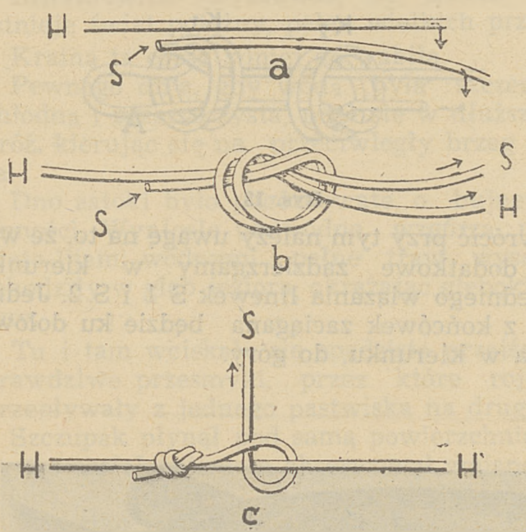
Litera „H“ oznacza sznur, lit. „S“ — przypon.

Węzeł ten ma dwie zasadnicze zalety: nie rozwiązuje się i daje możność szybkiego odłączenia przywiązanej końcówki.



Rys. 4

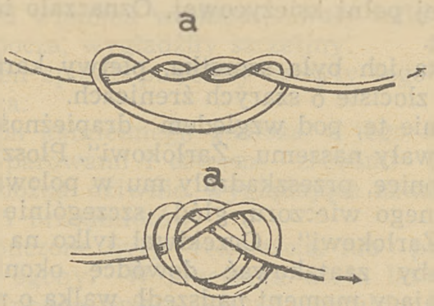
Sposób ten wiązania zapobiega splątaniu się sznura głównego i przymocowanego przyponu i przez zastosowanie dodatkowego węzła (rys. c)



Rys. 5

udaremnia całkowicie ześlizg. Oczywiście węzeł winien być zadzierzgnięty.

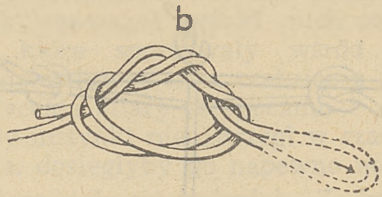
Wyżej opisany sposób wiązania może mieć



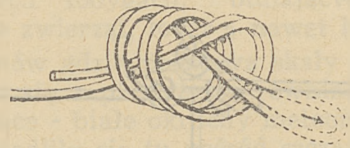
największe zastosowanie przy łowieniu na sztuczną muszkę.

Węzły wskazane na rys. 6 lit. a i b różnią się od węzłów podanych na rys. 1, 2 i 4 tylko podwójną ilością zwoi.

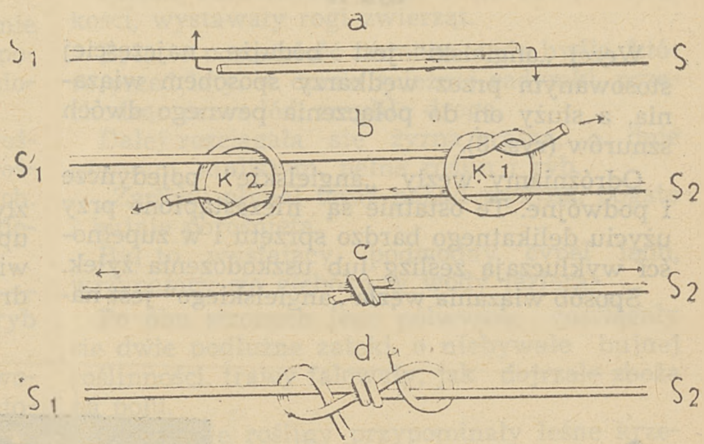
Bardziej jednak wskazanym jest wiązanie stosownie do rys. 7 b, ponieważ węzeł wyklu-



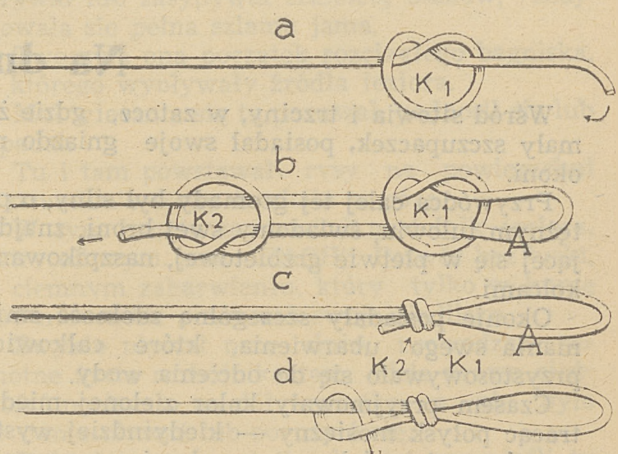
Rys. 6



Rys. 7

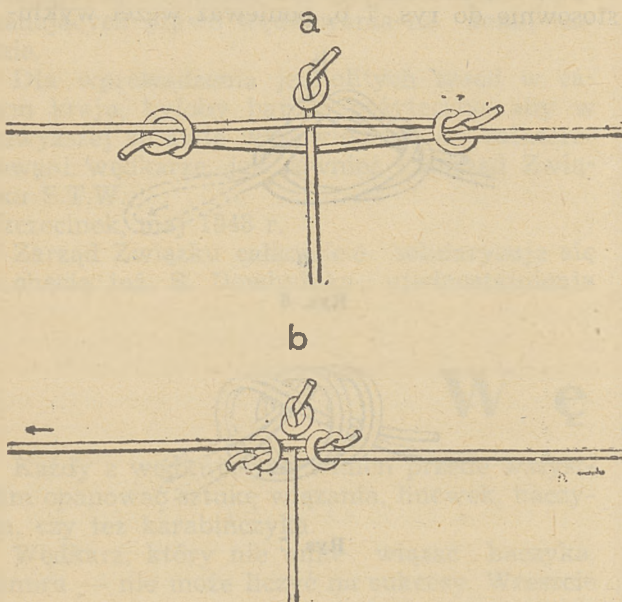


Rys. 8



Rys. 9

cza całkowicie możność uszkodzenia żyłki, co ma niewątpliwie duże znaczenie, przy stosowaniu delikatnego sprzętu.

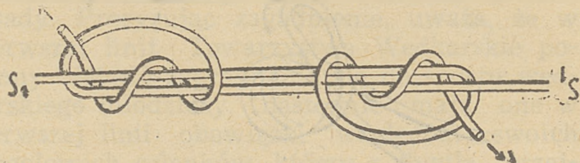


Rys. 10

Węzeł „angielski" jest bodajże najczęściej stosowanym przez wędkarzy sposobem wiązania, a służy on do połączenia pewnego dwóch sznurów (rys. 8).

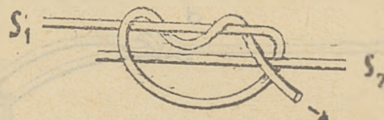
Odróżniamy węzły „angielskie" pojedyncze i podwójne. Te ostatnie są niezastąpione przy użyciu delikatnego bardzo sprzętu i w zupełności wykluczają ześlizg lub uszkodozenia żyłek.

Sposób wiązania węzła „angielskiego" jest następujący: przykładamy do siebie końcówki dwóch sznurów na długości około 10 cm. (a) i wiążemy w sposób wskazany na rys. b.



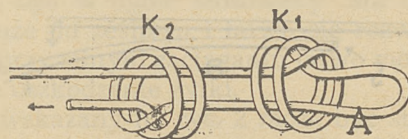
Rys. 11

Następnie silnie zadzierzgamy węzeł przez jednoczesne pociągnięcie końcówek w odwrotnych do siebie kierunkach. Wreszcie obcinamy



Rys. 12

końcówki (c), względnie dla większego wzmocnienia wiązania, zadzierzgamy dodatkowe węzły z lewej i prawej strony supła (rys. d).



Rys. 13

Zwrócić przy tym należy uwagę na to, że węzły dodatkowe zadzierzgamy w kierunku uprzedniego wiązania linewek S 1 i S 2. Jedna więc z końcówek zaciągana będzie ku dołowi, druga w kierunku, do góry.

Żarłok



Na dnie jeziora

Wśród sitowia i trzciny, w zatoce, gdzie żył mały szczupaczek, posiadał swoje gniazdo rój okoni.

Przywódca całej tej gromady był silny, o potężnym tułowiu, świadomy swej broni, znajdującej się w płetwie grzbietowej, naszpikowanej kolcami.

Okonie posiadały szczególną zdolność zmieniania swego ubarwienia, które całkowicie przystosowywało się do odcienia wody.

Czasem przyjmowały kolor zielonej miedzi, tracąc połysk mosiężny — kiedyindziej występowały na ich ciele czarne, płomienne zygzaki, niczym pręgi zebry, nadające tułowiu połysk złocistej pełni księżycowej. Oznaczało to dobrą pogodę.

Łuska ich była szorstka, płetwy karminowe i oczy złociste o szarych źrenicach.

Okonie te, pod względem drapieżności, nie ustępowały naszemu „Żarłokowi". Płoszyły stale drobnicę, przeszkadzały mu w polowaniu.

Pewnego wieczoru, głód szczególnie dokuczał „Żarłokowi". Oczekiwał tylko na sposobność, aby zaatakować dowódcę okoni, a gdy sprzyjający moment nadszedł, walka o mało co, nie skończyła się tragicznie dla „Żarłoka". Ocalał dzięki swej zwinności wynosząc z pojedynku dotkliwe rany i nienawiść do okoni.

Od tej pory trzymali się zawsze, z szacunkiem, w odpowiedniej dla siebie odległości, obserwując się wzajemnie, zukosa. „Żarłok" dobrze pojął, że pręgowaty przywódca nie jest tchórzliwym przeciwnikiem.

O, jakże odmienne mieli usposobienia. Żarłok był gwałtownym, bezwzględnym, w momencie ataku. Gardził niebezpieczeństwem, na swe ofiary napadał, jak grom, z furią, nie zważając na nic.

Przeciwnie, chytry okoń miał się zawsze na baczności. W swoim postępowaniu był opanowany, wykorzystując rozważnie i mistrzowsko każdy cios, aby wywalczyć zwycięstwo. Jakże pragnął zaatakować „Żarłoka". Potrafił się jednak od tego kroku powstrzymać.

Takiego doświadczenia „Żarłok" nie posiadał. Był jeszcze zbyt zapalczywy, młodzieńczy.

Za młodu nie znał głębokich jezior. Trzymał się płytkich wód. Tam zawsze miał przewagę nad wszystkimi stworzeniami. Posiadał wtedy swoje schronisko w trzcinie lub sitowiu wodnym.

Instyktownie wyczuwał, że gdzieś dalej istnieje świat potężny, pełen wielkich przygód.

Kraina ta coraz silniej go wabiła.

Pewnego dnia, gdy woda była szczególnie chłodna i przezroczysta, udał się w dłuższą podróż, kierując się na przeciwległy brzeg jeziora.

Dno zatoki było pagórkowate, o bujnej roślinności. Wyniosłe podwodne wzgórza, porośniete liliami wodnymi i pełne traw wysokich, schodziły w głąb jeziora, okrążając głębokie doliny.

Tu i tam wciskały się spadziste przejścia — prawdziwe przesmyki, przez które roje ryb przepływały z jednego pastwiska na drugie.

Szczupak płynął pod samą powierzchnią wody i z zaciekawieniem obserwował zmianę otoczenia.

Wszystko było nieznane i ciekawe. Odczuwał dziwną rozkosz — radość życia.

Ujrzał zdala podwodną skałę. Przepłynął przez łańcuch skalistych gór, wystających z czarnego mułu dna.

Wzgórza pełne były rozpadlin i wykrotów, poszyte w niektórych miejscach, niby lasem— gęstą roślinnością.

Przed wieloma wiekami, zwały lodu wyciosały zbocza, wygładziły szczeliny.

W ten sposób powstały szczyty tego płaskowzgórza.

Wśród kamiennego podłoża, z jego tajemniczymi parowami i ostrymi zrębami dostrzec było można dziwnie wyglądające szczątki żelaznych przedmiotów.

Zakończone były rękojeścią, lub posiadały długie ogony. W przeciągu wielu lat spadały one z innego świata. Były to zagubione bosaki i kotwice.

Skała ta podwodna była dobrym miejscem połowów...

Jezioro tu roiło się od raków. Pełzały one we wszystkich kierunkach mozolnie odmierzając duże przestrzenie za żerem.

W niektórych miejscach tworzyły całe osady.

Duże plemię raków osiedliło się na skale, w głębi prostopadłych szczelin płaskowzgórza.

„Żarłok" zauważył wśród nich parę tęgich okazów, które spoczywały wśród kamieni, w głębi dziewiczego lasu, czatując z gotowymi do uchwycenia ofiary szczypcami.

I gdyby instynkt nie ostrzegł w czas naszego szczupaka, dosięgłyby go napewno nożyce.

Krajobraz stale się zmieniał. Z kolei „Żarłok" ujrzał pustą, piaszczystą równinę, upstrzoną brunatnymi skorupami małż.

Następnie dostrzegł rośliny o kołyszących się, wysmukłych łodygach, otulających resztki szkieletów zwierząt, łodzi a nawet ludzi.

Tam, znów gdzie podstawa skały podwodnej graniczyła się z piaszczystą równiną, spoczywały lśniąco - białe okruchy meteorów.

Raki osiedliły się tu pośród szczątków kości, natomiast okonie objęły w posiadanie wraki łodzi, by w ten sposób móc łatwiej napadać z zasadzki.

Pośród ruchomych piasków dennych bielały kości, wystawały rogi zwierząt.

Była to pozostałość licznego stada bydła, które przed laty, w czasie śnieżnej zadymki, przechodząc przez lód, zmyliło drogę.

Dalej rozciągała się żyzna kraina, o dnie czarnym, mulistym, pełna roślin i ryb.

„Żarłok" płynął teraz ponad wyżyną, bogato i bujnie porośniętą.

Był to wystający, podwodny cypel lądu, wrzynający się głęboko w wody jeziora.

Po obu stronach tego półwyspu, rozciągały się dwie podłużne zatoki, o niebywale bujnej roślinności, trawy falowały, jak dojrzałe zboża na polu.

Olbrzymie rośliny przypominały leśne krzewy.

Na granicy tych bogatych i ubogich okolic, gdzie w czasie burzy fala dochodziła, aż do dna jeziora, poruszany prądem wody piasek, odkrywał lub zasypywał szkielety ssaków, znajdowała się pełna szlamu jama.

Tworzyła ona początek rozciągłego bagniska, z którego wypływały źródła jeziora.

Muł wiecznie się tu poruszał, podnosił się lub opadał.

Tu i tam powstawały rysy na powierzchni i strumienie wody tryskały w górę.

W tym bagnie zamieszkał pustelnik jeziora, satry olbrzym, sum „UACH". Potwór bez łuski, o ciemnym zabarwieniu, który tylko w burzę lub niepogodę opuszczał swoje siedlisko.

Zwykle pływał przy dnie, prowadząc samotne życie rozbójnika tam, gdzie prawo ciężkości pociągało na dół wszystko, co nie było w stanie pływać lub poruszać się.

Setki lat temu pobożni ludzie, przynieśli tu nad brzeg jeziora, rodzica „UACHA", zawinię-

tego w wilgotną trawę i powołali do życia, u stóp murów klasztornych plemię sumowatych. Miało ono służyć mnichom, swym tranowato — słodkim mięsem, jako solidna, postna potrawa.

Doświadczenie udało się tylko częściowo i pozostał jeno ostatni potomek tego plemienia.

„Uach" był tak wielkich rozmiarów, że gdyby go złowiono nie znalazłby się w całej okolicy wóz zdatny do jego transportu.

W olbrzymiej głowie jego tkwiły nieproporcjonalnie małe, o bursztynowym blasku, stale zaspane oczy.

Z górnej szczęki wyrastały dwa długie wąsy, a cztery wąsiki, o jasno żółtym odcieniu, zwisały z dolnej wargi.

Przełyk „Uacha" graniczył z potężnych rozmiarów żołądkiem.

Ogon spłaszczony silnie po bokach stanowił połowę tułowia suma.

Ten postrach wszystkich ryb jeziora — sam bał się panicznie tylko i jedynie światła. Chętnie więc zagrzebywał się w mule.

Nieświadomy niebezpieczeństwa „Żarłok" przepłynął blisko suma niemal ocierając się o jego cielsko!

Uwagę jego zwróciły dwa wijące się, długie czerwie.

Wiedziony ciekawością błyskawicznie zbliżył się do jednego z nich i w chwili kiedy otworzył paszczę, aby uchwycić zębami — czerw zniknął m u z oczu.

Widocznie nie dość blisko znajdował się paszczy suma, uzbrojonej w ostre, a gęste jak szczotka zęby, gdyż „Uach" nawet nie drgnął.

„Żarłok"lekkomyślnie popłynął w kierunku drugiego wąsa.

Rzekomy „czerw" zwinął się natychmiast w kłębek i powoli zanurzał się w mule.

Dziwne to, niespotykane dotąd zachowanie „czerwia" obudziło w „Żarłoku', lęk przed czymś bardo groźnym, niebzpiecznym i zmusiło go do odwrotu, akurat w tym momencie, kiedy „Uach" zdążył uwolnić się z mułu i szykował się do napaści.

Chmura czarnego, jak pył mułu, w pierwszej chwili przesłoniła „Żarłokowi" widoczność.

Nigdy dotąd nie płynął tak szybko.

Strach dwoił jego siły.

Instynkt ostrzegał, że nie uniknął jeszcze niebezpieczeństwa.

Wreszcie dojrzał przestrzeń czystej wody i pierzchające w popłochu przed nim stado ryb.

Dopłynął do brzegu i skrył się natychmiast w gąszczu sitowia.

Wypoczywał w tych stronach około miesiąca.

Pewnego dnia, płynąc nad skrajem swego nowego łowiska, zauważył stromą pochyłość, o dziwnych regularnych otworach.

Były to mury starego klasztoru, niegdyś wybudowanego nad brzegiem jeziora.

Sterczące wały przypominały mu ostatnią niemiłą przygodę z „Uach" i to, że tam gdzieś w głębi jeziora tkwi straszne niebezpieczeństwo, mieszka jakiś potwór stokroć silniejszy od niego.

Nie miał odwagi nadal wracać tą samą drogą, poprzez jezioro.

Płynął więc wzdłuż brzegów, pomimo, że woda stawała się coraz to płytsza.

(d. c. n.)

(Przekład z duńskiego)

Żyłka czy jedwab

W wędkarstwie, jak może w żadnej innej dziedzinie sportu, nie ma i nie może być ustalonych i niezmiennych zasad. Odgrywa tu dużą rolę kwestia zapatrywania, przyzwyczajenia i upodobania. Odnosi się to nie tylko do samych sposobów łowienie lub polowania wyłącznie na określony gatunek ryby, lecz również do używania samego sprzętu.

To, co najbardziej podoba się jednemu, — zupełnie nie odpowiada drugiemu. Trudnym, a nawet bezcelowym jest niekiedy wysilanie się nad podkreślanie wad lub zalet danego sposobu łowienia, czy rodzaju sprzętu, by przekonać o słuszności swego poglądu.

Pisząc te kilka słów, nie mam bynajmniej zamiaru przekonywania innych i chcąc być możliwie objektywny, mogę jedynie nadmienić, że uwagi swe opieram na własym doświadczeniu oraz danych, zaczerpniętych z literatury obcej.

Chciałbym poruszyć srawę jednej zasadniczej części składowej wędki — mianowicie sznurka wędkowego, który z przywyczajenia i dla skrócenia nazywam linką.

W sprawie tej wypisano już wiele atramentu, oświetlając ją jednak dość jednostronnie i bynajmniej nie przełamano wyjątkowego konserwatyzmu, jaki panuje wśród wędkarzy.

Literatura fachowa przeważnie ogranicza się do opisywania różnego rodzaju linek jedwabnych czy konopnych, a jeżeli porusza sprawę żyłki, to jedynie przy zastosowaniu jej do przyponów, zwanych też w gwarze wędkarskiej „przytokami" czy „saturami".

Aczkolwiek już parę lat przed wojną znane były linki z żyłki o długości 50 — 100 m., nie znalazły one jednak szerokiego zastosowania. Z jednej strony przeszkodą była początkowo dość wysoka ich cena, z drugiej zaś — jakość wyrobu. Wiele gatunków, szczególnie produkcji

japońskiej, odznaczało się zbyt dużą sztywnością, nie nadawało się zupełnie do wiązania w stanie suchym, a w użyciu szybko strzępiło się.

Z chwilą udoskonalenia wyrobów, a szczególnie gdy zjawiły się one pod nazwą „nylonu“, rozpowszechniły się bardzo. Ostatnio przyczyniła się do tego poniekąd również reklama nylonowych pończoszek, znanych ze swej wytrzymałości. Dziś na zachodzie Europy, a szczególnie we Francji, Szwajcarii i Belgii linki tego rodzaju są w powszechnym użyciu. W Anglii, jako kraju najbardziej konserwatywnym — dopiero teraz zaczynają zdobywać uznanie.

W sprzedaży mamy je w kaliprach od 0,10 do 0,80 mm. i o wytrzymałości od 0,5 do 12 kg. nawinięte na drewniane lub bakielitowe szpulki o długościach 75 — 150 m. Są to znane przed wojną wyroby marki francuskiej „Racine tortue“ — obecnie „gut nylon“, — lub w Anglii „gut substitute“ lub „nylon monofilament lines“.

Żyłka ta doskonale nadaje się do wszelkiego rodzaju łowiectwa wodnego, a szczególnie dla uprawiających metodę spinningową.

Jako zwolennik tej właśnie metody, od 10 lat używam do tego celu jako linki wędkowej wyłącznie żyłki nylonowej, mając jej na kołowrotku 75 — 100 m.

Jeżeli chodzi o jej zalety, są one następujące:

1) grubość (kaliber) na całej długości linki jest absolutnie dokładna, tworząc w przekroju prawidłowe koło, gdyż nie jest utworzona z szeregu włókien, lecz z jednolitej masy.

2) Powierzchnia gładka i śliska, co umożliwia bardzo łatwe prześlizgiwanie się linki przez przelotki i wykonanie dalekich rzutów. Ze wszystkich dotychczas znanych rodzajów linek, żyłka ta ma najmniejszy współczynnik tarcia .

3) Daje się wiązać w stanie suchym bez konieczności uprzedniego moczenia. Dla pewności (przy większych kalibrach) zaleca się wzmocnienie węzeł kropelką celuloidowego lakieru.

4) Jest przezroczysta, elastyczna, dość mięka, a właściwości te jeszcze bardziej zwiększają się w wodzie.

5) Jest trzykrotnie wytrzymalsza od linki jedwabnej tej samej grubości. Nie ulega wpływom działania wody zarówno słodkiej jak i morskiej.

6) Nie butwieje w użyciu i nie wymaga suszenia po skończonym łowieniu. Zaleta niezmiernie ważna dla wędkarza, który po całodziennym łowieniu linką jedwabną czy konopną, przychodząc zmęczony na nocleg, musi koniecznie nawinąć ją na specjalny zwijak lub dookoła krzeseł, by przeschła i pilnować, by w tym czasie nie zakradł się kot i nie pogryzł.

8) Zachowuje swą moc przynajmniej 4 razy dłużej od linki jedwabnej. Stwierdziłem, że po jakich 300 rzutach, na metalowej oprawce przelotki końcowej, jeżeli ona zachodzi do połowy pierścienia agatowego czy porcelanki, powstają bardzo wyraźne rysy wyżłobione jakby pilnikiem przez tarcie nylonu. W tym wypadku linka jedwabna poszłaby dawno w strzępy.

9) Po zużyciu, może być wykorzystana w całości na sporządzanie przyponów, czyli jest bardzo ekonomiczna.

Mając tyle zalet, posiada naturalnie i wady, lecz w znacznie mniejszym stopniu.

W stanie suchym posiada dość znaczną sprężystość i nie układa się na wałku kołowrotka tak szczelnie, jak linka jedwabna.

Przy użyciu kołowrotka o bębenku stałym, spada z niego podczas rzutu niekiedy całymi zwojami, tworząc tzw. „ptasie gniazdo“, co powoduje częste splątanie linki.

Przy zwijaniu podczas łowienia lekką obrotka. wskutek małej jej wagi i słabego oporu, nie nawija się na szpulkę tak szczelnie jak linka jedwabna.

Przy zgnieceniu zatraca swój przekrój okrągły, tracąc w tym miejscu znacznie na mocy. Miejsce takie daje się zauważyć w postaci białych plamek. W tym wypdaku zaleca się uszkodzony odcinek usunąć, by nie mieć później przykrego zawodu w postaci zerwania się linki podczas holu solidniejszej sztuki. Odcięty kawałek może być z powodzeniem wykorzystany na przypony do tej samej linki wzgl. na przyponiki do haczyków.

Jakie wnioski i zalecenia można wyciągnąć z powyższego przeglądu? Zdaje się, że najwła-

ściwszym będzie pozostawienie tego do rozstrzygnięcia Kolegom - wędkarzom, według ich gustu. Niemniej jednak, pozwolę sobie na podkreślenie pewnych wypróbowanych spostrzeżeń.

Nie ulega wątpliwości, że rzucać jest lepiej linką nylonową, natomiast holować — jedwabną. Ponieważ nie można jedną linką rzucać, a inną holować wybór rodzaju linki zależeć będzie od indywidualnej decyzji, względnie stanu posiadania.

Jeżeli chodzi o mój osobisty pogląd to stanowczo jestem zwolennikiem linki żyłkowej do wędzisk spinningowych. Przy łowieniu na muchę lub przy metodzie gruntowej, kiedy będzie chodziło o zapewnienie możności pływania linki po powierzchni wody, lepsze usługi może oddać linka jedwabna.

Dziś kiedy nabycie linki jedwabnej jest prawie niemożliwe — zarówno konieczność jak i zmysł praktyczny zdaje się przeważać na korzyść linki nylonowej.

Edward Maliszewski

Rosówka

Jestem u Sławka. Przemiły gospodarz, zawsze opanowany, dziś mierzy nerwowym krokiem gabinet. Obok, pogrążony w fotelu, siedzi jego gość z Warszawy, który korzystając z wolnego czasu, „wpadł na chwilę" do Olsztyna by zwiedzić Warmię, a jako zapalony wędkarz — postanowił spróbować szczęścia na jej pięknych jeziorach.

Dym z papierosów leniwie snuje się po gabinecie. Z obawą rzucamy wzrokiem przez okna. Szyby ociekają strugami wody. Zwały ołowianych chmur nisko pędzą ponad dachami domów. Rozmowa nie klei się. Co chwila sprawdzamy horyzont. Nic nie wróży poprawy. Odnosimy raczej wrażenie, iż z minuty na minutę wichura narasta, a potoki deszczu zalewają chodniki, tworząc nieprzebyte bajora.

Jest już późno.

Otulony w nieprzemakalny płaszcz wracam do domu. Postanowiliśmy jednak jechać nazajutrz bez względu na pogodę. Interesuje nas grupa jezior Wadang, odległa od Olsztyna o niecałe 17 klm. Podróż mamy odbyć rowerami, komunikacja bowiem w sierpniu 1946 roku nie stała jeszcze podówczas na wysokości zadania i uchwycić samochód stanowiło niemałą trudność.

Późnym już wieczorem kończę przygotowania. Lustracja roweru, wędek wypada zadawalająco.

Następnego dnia budzę się o świcie. Deszcz ustał. Jest spokojnie i parno. Strumyki brudnej wody z cichym pluskiem rwą po rynsztokach. Troczę ekwipunek do roweru i nie tracąc chwili czasu jadę na miejsce zbiórki.

Zastaję obu wędkarzy gotowych do drogi. Przy powitaniu unikamy rozmowy na temat wielce niepewnej pogody.

Gdy mijamy ostatnie domki, jaskółki tną powietrze przyziemnym lotem. Wełniste chmury ledwie widoczne są spod oparów mgły, unoszącej się z nad łąk i rozlewisk. Szosa biegnąca przez las, lśni mokrym asfaltem. Ciężkie krople wody ślizgają się po igliwiu sosen i świerków.

Jedziemy i stawiamy horoskopy na oczekujące nas przygody wędkarskie.

Podjeżdżamy do Barczewa. Pierwsze krople deszczu zmuszają do szybszej jazdy. W Barczewie krótka narada. Do jeziora mamy niecałe 4 klm. Mimo nagłej zmiany aury, postanawiamy jechać do rybaczówki, skręcamy więc w prawo i po półgodzinnej jeździe jesteśmy na miejscu.

Pukamy do drzwi.

Otwiera nam leciwa niewiasta. Nieufnym wzrokiem mierzy nas od stóp do głów. Istotnie wyglądamy niezbyt ciekawie. Ściekająca woda z ubrań tworzy pod stopami bajorka o fantastycznie rozwiniętej linii brzegowej.

Przedstawiamy się i wyjaśniamy cel podróży. Kiwnięcie głową i nieokreślony ruch ręką w stronę izby tłumaczy jako placet ukrycia się pod dachem.

Stawiamy rowery, układamy pod strzechą wędki i jesteśmy już w półmroku izby.

Nieraz byłem na deszczu, ale dzisiaj z prawdziwą rozkoszą zrzucam przemokły płaszcz, ubranie i obuwie.

Sławek i gość szybko, im tylko znanym sposobem, załatwili się z ociekającą strugami wody garderobą. Gorąca herbata, kieliszek wyśmienitej mocnej wódki poprawił przemokłe humory.

Stało się raźniej, a w międzyczasie i deszcz ustał.

Niebo pokrywało się kłębowiskiem chmur. Porywisty wiatr wgryzł się w chmurzyska i rwał je na strzępy.

Jezioro Umling, leżące w kotlinie, było dostatecznie zasłonięte od podmuchów wichru.

Jedziemy na 2 łodziach po leniwie płynącej rzeczce, gęsto porosłej splątaną roślinnością wodną, która miała nas zaprowadzić do wyżej wspomnianego jeziora. Im bliżej otwartej wody, tym droga stawała się trudniejsza. Delta rzeczki stanowiła istny labirynt. Pływające wysepki z gęsto porosłą trzciną, strzeliste nadbrzeżne szuwary, błędne łożysko rzeki a przede wszystkim nieznajomość terenu — pochłonęło wiele czasu, zanim dostaliśmy się na jezioro.

Mimo kilkakrotnej zmiany miejsca, zmiany

przynęt, zmiany wędek, stosowania wszelkich znanych i wybróbowanych a tajemnych sposobów wędkarskich — nie dało się nic złowić poza kilkoma drobnymi płotkami, które poszły na żywca z tym samym rezultatem.

O zmroku wracamy do rybaczówki. Tam zastajemy rybaka, który rozpytuje o wyniki połowu, daje wskazówki gdzie można złowić lina, gdzie stoi szczupak, a gdzie da się przydybać węgorza.

Ciepła strawa, wrażenia z podróży i nieudanych połowów, kąpiel na deszczu i kopcąca lampka, rzucająca migotliwe refleksy światła na rozwieszane po ścianach obrazy świętych, wywołują senny nastrój. Rozmowa rwie się na strzępy. Jesteśmy znurzeni, a posłane łóżka ciągną jak magnesem do spoczynku.

Rybak wstaje od stołu, żegna się mocnym uściskiem dłoni.

Życzę panom dobrej nocy. Rano obudzę. Ja jeszcze idę poszukać rosówek, ponieważ jutro zamierzam postawić sznury na węgorza.

Sen pryska z powiek.

Panie Kazimierzu, ja idę z panem — rzucam w ślad za odchodzącym rybakiem.

Sławek wstaje. Gość z Warszawy narzuca marynarkę.

Za chwilę wsiąkamy w czarną otchłań nocy sierpniowej. Z przodu postępuje rybak, niosąc latarnię, której mdłe i migotliwe światło nie przebija ciemności parnej i namokłej wilgocią noc. Pod nogami chlupoce rozmokłe błoto. Wydostajemy się na jakieś wzniesienie, wielce gliniaste, bo buty wnet przybrały na wadze i w świetle migotliwego światła wyglądały jak niesamowitej wielkości łapcie.

To tu — odzywa się rybak i zniżywszy latarnię, złamał się w pół i począł wpatrywać się w ziemię.

Co on widzi? — słyszę szept gościa.

Rosówek szuka — odpowiada równie przyciszonym głosem Sławek. Z natężoną uwagą obserwujemy rybaka. W pewnej chwili Kazimierz pochylił się w pałąk, prawą ręką z rozstawionymi palcami wysunął przed siebie i błyskawicznym ruchem przybliżył ją do ziemi.

Mam! No i trzyma!

Widzimy jak teraz ręka z kurczowo zaciśniętymi palcami stopniowo unosi się ku górze. Między ręką a ziemią w migotliwym świetle latarni drga gruba struna, lśni co chwila gasnącymi drobniutkimi odbłyskami i z każdą chwilą wydłuża się nieprawdopodobnie, a po chwili odrywa się od powierzchni ziemi i w wężowych skrętach wije się pod dłonią rybaka.

Silny rybak! Będzie węgorz — z zadowolenie stwierdza Kazimierz.

To była pierwsza rosówka.

Nocna esktpada przyniosła nam pełne wiadro tej tak bardzo cenionej przez brać rybacką przynęty. Kazdy z nas „zbierał" rosówki na własną rękę ze zmiennym szczęściem. Upaplani gliną jak nieboskie stworzenia, radośni i bogatsi o jeszcze jedne przeżycie, wracamy do rybaczówki.

Brzask dnia zastaje nas na nogach. Nieco jeszcze senni, ciągniemy nad wodę . Przenosimy się tym razem na inne jezioro, znacznie mniejsze od Umlingu, ale podobno „mocno rybbne", ponieważ rybacy nie odławiają jego wód, których głębia jest niezmierzona, a na dnie rzekomo ma być zatopiony klasztor.

Ewenementem jest dach nad głową. Spodziewając się jeszcze deszczu, lokujemy się na obszerny pomost kąpieliska. Tuż po obu stronach pomostu rozciąga się bogaty kobierzec roślinności wodnej zrzadka poprzetykany śmigającą ku górze trzciną. Od środka pomostu biegnie wolna przestrzeń. Miejsce wymarzone. W zachwyt wprowadza kilkumetrowa głębia i — z każdą chwilą przebijający poprzez wolno płynące chmury błękit nieba.

Po kilku minutach Sławek pierwszy ma branie. Widzę jak szczęściarz mocuje się z uczepioną na haku rybą. Walka przedłuża się. Z podrywką śpieszę na pomoc.

Prawie dwukilowego lina ładuje nareszcie do siatki.

Oczekujemy tym razem na swoją kolej.

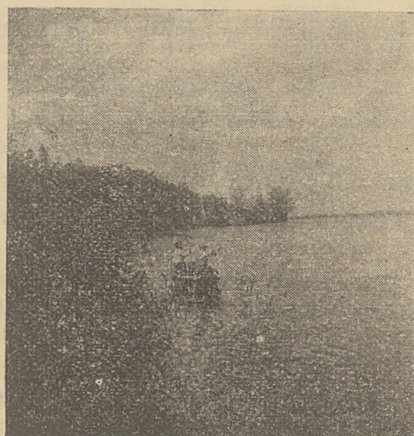
Niekontrolowany czas upływa szybko i niespostrzeżenie. Słońce raz po raz z poza chmur oblewa świat potokami światła i błogiego ciepła.

W międzyczasie taszczę z żywca pokaźnej wielkości szczupaka. Gość ma na rozkładzie parę ładnych linów, a Sławek nazbierał z haka po rosówkach, złowionych nocą, kilkanaście raków.

Ryba ucięła i nie daje się nakłonić do brania. Zabieram więc spinning i ruszam wzdłuż stromo spadających ku jezioru brzegach, porośniętych gęstą, sięgającą prawie do pasa trawą.

Obserwując taflę jeziora, potykam się na przeszkodzie, ukrytej w trawie. Ze zdziwieniem spostrzegam wystający brzeg beczki.

Wiedziony ciekawością zaglądam do wnętrza. Zdumienie moje nie ma granic.



Bugo-Narew

Na dnie głębokiej beczki, wypełnionej do połowy wodą, rzucają się ogarnięte trwogą dwa chlapaki krzyżówek. Nieostrożne kaczki musiały trafić do pułapki przed kilkoma dniami.

Pióra przemokłe, pod skrzydłami i między lotkami zakradło się już robactwo. Osłabione wielodniową niewolą i głodem wycieńczone, dały się wybrać z beczki i spokojnie zanieść na pomost.

Pytaniom nie było końca. Wyjaśniłem dokładnie jak, co i gdzie. A więc na wspólnym rozkładzie mamy kilka linów, szczupaka, prawie kopę raków i... dwie kaczki, które zawinięte w plandekę z wystającymi główkami i małymi świdrującymi oczkami, czekają na zakończenie wędkowania.

Próbuję jeszcze szczęścia ze spinningiem, jednak bezskutecznie.

Po powrocie zwypadu wokół jeziora, znajduję tylko jedną kaczkę. Druga według słów gościa —„wyszła sobie z plandeki w świat i mimo nawoływań i zachęty, by pozostała z miłymi wędkarzami, nie chciała słuchać".

Ha, trudno!

Druga jako „trofeum wędkarskie", pokwakując po drodze, szczęśliwie dotarła do Olsztyna.

Słońce chyliło się na drugą połowę nieboskłonu. Wracamy. Ciągniemy przez las jakże inny, niż przed kilkunastoma godzinami. Wchłaniamy pełną piersią aromat żywicy i ożywczą woń kwitnących łąk.

Drzewa toną w blasku zachodzącego słońca. Pełni wrażeń i gorącej wdzięczności Matce Naturze za doznane wrażenia wracamy do miasta i obiecujemy, iż przy najbliższej nadarzającej się sposobności, pojedziemy z wędkami na zbiór rosówek."

Bolesław Gabrys

To i owo

TO I OWO

Podajemy sposób konserwacji rybek na przynętę. W tym celu wkładamy je do roztworu otrzymanego przez dodanie 1 łyżki stołowej formaliny (formaliny używamy o stężeniu od 40 do 100 procent) do połowy litra przegotowanej i wystudzonej wody. W płynie tym pozostawiamy rybki przez 48 godzin.

Po upływie powyższego czasu, wyjmujemy je i dokładnie obmywamy w wodzie. Jeśli na ciele rybek stwierdzimy niebieskawe plamy, to należy je bezwzględnie usunąć przez nacieranie tych miejsc wilgotną solą, a nawet przez zeskrobanie nożem, gdyby ten pierwszy zabieg okazał się mało skuteczny.

Następnie przygotowujemy drugą kąpiel z wody ocukrzonej, biorąc na 4 części 1 część cukru. Do tej słodkiej wody wkładamy rybki i pozostawiamy je w naczyniu otwartym prze kilka dni. Kąpiel ta ma na celu pozbawienie rybek przykrego zapachu formaliny.

Po paru dniach przekładamy rybki do przygotowanego ponownie płynu ocukrzonego, według powyżej podanej recepty.

Jeśli na roztworze stwierdzimy pleśń, czy jakikolwiek inny nalot, czym prędzej wyjmujemy rybki, starannie obmywamy je wodą i umieszczamy w świeżo przygotowanym roztworze cukru.

Ogłoszenia drobne

Wędzisko spinningowe - rzutówkę, o silnej budowie, od 2.10 m do 3.20 m kupię. Zgłoszenia z opisem i podaniem ceny proszę kierować pod adresem: M. Postół, Pszczyna, Górny Śląsk, Rynek 5.

Do sprzedania motor przyczepny, w dobrym stanie, 5-cio konny, firmy amer. „Johnson". Wiadomość firma „Sum", Warszawa, ul. Żurawia 33.

Prosimy o nadsyłanie artykułów i fotografii

KONKURS

Zarząd Związku Sportowych Towarzystw wędkarskich ogłasza konkurs na projekt odznaki Związku, przeznaczonej dla noszenia w klapie.

Odznaka nie powinna być mniejsza nad 3 cm. długości i szerokości. Format dowolny.

Projekt powinien być przygotowany w naturalnej wielkości i właściwych kolorach.

Termin nadsyłania prac upłynie definitywnie 1 września br.

Projekt należy opatrzyć godłem i do niego dołączyć w zamkniętej kopercie imię, nazwisko i adres autora.

Jako nagrodę Zarząd Związku Sportowych Wędkarskich przeznacza 5.000 zł, za projekt przyjęty i zakwalifikowany do wykonania.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi we wrześniu br. przez Zarząd Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich.

Adres Redakcji: Warszawa, **Mokotowska 46 m. 17**; Administracji: — **Rozbrat 10.** Konto czekowe B. G. K. Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Nr. 1212.

Wydawca — Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Redaktor — **Adw. Józef Wyganowski.**

Cena egzemplarza **35 zł.** Dla wędkarzy zrzeszonych w Związku **25 zł.** Ceną w prenumeracie dla niezrzeszonych **420 zł.** rocznie.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona okładki lub za tekstem: 1/1 — 10.000 zł., ¾ — 8.000 zł., ½ — 6.000 zł., ¼ — 4.000 zł., 1/8 — 2.000 zł: — Za ogłoszenia w tekście drożej o 50%. Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem po 10 zł. za wyraz; grubym drukiem po 20 zł. za wyraz.

Za dział ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów, rysunków, fotografji itp. Ponadto Redakcja zastrzega sobie prawo robienia zmian w nadesłanych rękopisach, poprawek i t. d.

Sp. Wyd. „Wiedza" — Druk. „Robotnik" Nr 1, Jerozolimskie 85 B—53195